NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. Kraków, 4 grudnia 1915. Nr. 49.

Pogrom Serbii.



Austryacko-węgierskie oddziały na terenie serbskim.

Pogrom Serbii.

(Do illustracyi tytułowej).

Serbia przestała istnieć. Rozgromione armie serbskie, straciwszy mnóstwo zabitych, rannych i jeńców, uciekają w kierunku Albanii i Czarnogóry, aby na obcem terytoryum schronić się przed pościgiem zwycięzkich wojsk austro-węgierskich, niemieckich i bułgarskich. W ten sposób po 16 miesiącach wojny został przypieczętowany los małego państewka, które w obecnym przewrocie dziejowym odegrało tak wybitną rolę — stając się zarzewiem światowej wojny.

Nie zdołali pomódz Serbii jej zachodni sojusznicy, których pomoc, udzielona jej przez wysadzenie wojsk francusko-angielskich w Salonikach, była raczej tylko manifestacyą, pozbawioną realnego znaczenia. Serbia, pozostawiona sama sobie — walczyła po bohatarsku, ale uległa, bo uledz ostatecznie musiała.

Dziś politycy i naród serbski przekonał się dowodnie, jaką wartość miały obietnice urzędowej jego „opiekunki“ Rosyi, której powolnem narzędziem była do ostatniej chwili Serbia. Swą wiarę w potęgę Rosyi i bezwzględne uleganie jej wpływom przypłaciła Serbia swem istnieniem.



Rocznica listopadowa w Krakowie: Prezydyum i rada m. Krakowa, po nabożeństwie w kościele Maryackim, przy kolumnie Legionów. (X) J. E prezydent dr. Leo.

Rocznica listopadowa w Krakowie.

W podniosłym nastroju obchodził Kraków rocznicę powstania listopadowego. I dziś, jak ongiś przed laty, zmaga się nasz naród z odwiecznym swym wrogiem, z drugiej zaś strony radość ogarnia każdego, że Warszawa, która tak długo jęczała pod knutem najeźdźcy, uwolniona dziś z pętów, z sercem pełnem nadziei spogląda dziś w lepszą przyszłość, która, oby jak najrychlej nadeszła!

Obchód rozpoczęło nabożeństwo w kościele Najśw. Panny Maryi. Odprawił je arcybiskup ks. Franciszek Symon, podniosłe kazanie wygłosił ks. H. Haduch T. J. W nabożeństwie wzięli udział prezydent miasta dr. Leo z wiceprezydentami, członkowie Rady miejskiej i urzędnicy magistratu, członkowie N. K. N., weterani z r. 1863 z prezesem p. Chronowskim na czele, cechy ze sztandarami, wreszcie tłumy publiczności. Chór kościoła Maryackiego wykonał bardzo poprawnie szereg utworów patryotycznych.

Po nabożeństwie udano się na Rynek, przed kolumnę Legionów, gdzie prezydyum miasta, członkowie Rady miejskiej, redakcye: „Nowej Reformy“ i „Kuryera Codziennego“ i kierownicy instytucyi i zakładów miejskich wbijali gwoździe honorowe, składając ofiary na fundusz wdów i sierót po poległych w toczącej się obecnie wojnie legionistach.

Wieczorem odbyło się uroczyste przedstawienie w Teatrze miejskim przy wypełnionej do ostatniego miejsca sali. Krakowianie uczcili w ten sposób pamięć bohaterskich swych ojców i dziadów.

Słowo wstępne wypowiedział profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr. Stanisław Smolka, przedstawiając wiekopomne zasługi bohaterów z roku 1831, którzy w nierównym boju szukali zwycięstwa, a przynajmniej obrony czci i honoru narodowego. Burzliwe oklaski nagrodziły sędziwego mowcę, który wspaniałą swą przemową do głębi wzruszył słuchaczów.

Na program złożyły się popisy deklamacyjne, muzykalne i wokalne, wykonane przez pp. Łowczyńską, Schwarzensteina, Szpak-Bandrowską, Kochanowicza i Irenę Solską. Wybornie wykonane pieśni chóralne pod batutą prof. Wallek-Walewskiego zyskały sobie zasłużone oklaski.

Artyści teatru miejskiego odegrali z „uczuciem pierwszy akt „Nocy listopadowej“.

Głęboko wzruszeni opuszczali słuchacze mury krakowskiego Teatru, z cichą nadzieją, iż może już w najbliższym czasie spełnią się te ideały dziadów naszych i ojców, dla których oni krew swą przelewali, a które pozostawili w spadku swojemu potomstwu. Nie zawiodło ono: Legiony nasze okryły się już nieśmiertelną chwałą!

Sam obchód w dniu 29 go listopada poprzedziło w niedzielę zbieranie datków na gwiazdkę dla Legionistów. Przy stolikach, ustawionych w pierwszorzędnych lokalach krakowskich, składano obficie, na co kogo stać było, by bodaj w ten sposób dać wyraz sympatyi i uznania tym, którzy nie żałują swej krwi w obronie najświętszej sprawy!...



Śladem odwrotu Rosyan: Zdobyty rów strzelecki ze zwłokami żołnierza rosyjskiego.

Swięto nauki polskiej w Warszawie.

Warszawa zdała egzamin. W okresie dziejowego przewrotu, wśród huku armat i krwawej pożogi, która usiała mogiłami i zgliszczami ziemie polskie, stolica Polski nie ugięła się pod brzemieniem najcięższych ofiar i w tym tragicznym dla narodu polskiego momencie dała dowód swej siły duchowej, zapalając stłumione uciskiem rosyjskim, lecz nigdy nie zgaszone ognisko nauki polskiej. W kilka zaledwie tygodni, w czasie, gdy wojska rosyjskie opuszczały Królestwo Pol kie, paląc i niszcząc wszystko za sobą, a zwycięskie armie staczały jeszcze zacięte walki z ustępującym, lecz upartym wrogiem — Warszawa stworzyła szkolnictwo polskie, uwieńczone w dniu 15 listopada otwarciem polskiego Uniwersytetu i polskiej Politechniki. To też dzień ten, w tak ciężkich i ponurych dla całej P. lski czasach, stał się prawdziwem świętem — polskiej kultury i polskiego du ha narodowego, którego nie mogła i nie może złamać najbrutalniejsza przemoc...

Akt otwarcia Uniwersytetu i Politechniki odbył się bardzo uroczyście. Po odprawieniu uroczystego nabożeństwa w katedrze św. Jana, profesorowie, przedstawiciele polskiego społeczeństwa i delegaci najrozmaitszych instytucyi udali się do Uniwersytetu i Politechniki, witani owacyjnie przez zgromadzone na ulicach tłumy. Tam rozpoczęła się właściwa uroczystość w obecności przedstawicieli władz niemieckich.

Uniwersytet, którego rektorem został znany lekarz dr. Brudziński, rozpoczął natychmiast po otwarciu swą działalność na wszystkich wydziałach, a mianowicie: lekarskim, prawnym, filozoficznym i matematyczno-przyrodniczym. Już w kilka dni po otwarciu Uniwersytetu liczba słuchaczy wynosiła z górą tysiąc.

Na Politechnice, której rektorem został inż. Straszewicz, zostały otwarte następnjące wydziały: inżynierya rolna, architektura, elektrotechnika, inżynierya budowlana, mechanika i chemia. Na Politechnikę w pierwszych dniach po otwarciu zapisało się przeszło sześciuset słuchaczy.

Tak więc w Warszawie zapłonęły na nowo ogniska polskiej nauki, a fakt ten odbił się radosnem echem w całej Polsce.



Swięto nauki polskiej w Warszawie: Rektor Uniwersytetu warszawskiego dr. Brudziński (X) oczekuje na gości podczas uroczystości otwarcia uczelni.



Wieś, spalona przez uciekającego nieprzyjaciela.



Rosyjskie okopy pod Lublinem.

Śladem odwrotu Rosyan:



Swięto nauki polskiej w Warszawie: Zewnętrzny widok jednego z budynków Uniwersytetu warszawskiego.

Dzień modłów za Polskę w Ischlu.

Echo głosu Ojca św., wzywającego świat katolicki do modłów za Polskę w dniu 21 listopada, odbiło się także i w Alpach, w Ischlu, gdzie ranni i chorzy polscy żołnierze w miejscowych szpitalach w znacznej jeszcze liczbie przebywają. Polscy żołnierze w dniu tym przystąpili w czasie mszy św., celebrowanej przez ks. Jana Głąba, wojskowego duszpasterza, do świętych Sakramentów na intencyę potrzeb Polski.

W uroczystości tej, która odbyła się w szpitalu powszechnym, oprócz żołnierzy Polaków i księdza Głąba wzięli ochotnie udział pp.: Reischel, nadporucznik i komendant stacyjny w Ischlu, przedtem radca namiestnictwa w Lincu, nader sympatyczny i troskliwy o zdrowie fizyczne i duchowe żołnierzy w tamtejszych szpitalach, dr. Mayer, prymaryusz, bardzo wybitny lekarz, dr. Thiess, sekundaryusz, ks. Kokta (Czech), wielki przyjaciel żołnierzy, siostra Sylwia, przełożona, z swemi siostrami pielęgniarkami i Ramsauer, zarządca szpitala.

Uroczystość zakończyła się wspólną fotografią, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Powrót tułaczy krakowskich.

Po przeszło rok trwającem wygnaniu zaczęli wreszcie wracać do Krakowa tułacze, wyewakuowani do baraków choceńskich. Pierwszy pociąg, wiozący około tysiąca uchodźców z Chocenia, przybył w dniu 25 listopada.



Dzień modłów za Polskę w Ischlu: Uczestnicy uroczystości w szpitalu powszechnym 1) Ks. Jan Głąb, 2) S. Sylwia, przełożona, 3) dr. Mayer, 4) nadpor. Reischel, 5) dr. Thiess, 6) zarządca szpitala Ramsauer, 7) ks. Kokta.

Komitety krakowskie, zajmujące sie losem uchodźców, przygotowały się należycie na ich przyjęcie. Lekarz pułkowy, dr. Sofer, odstąpił w nowych barakach, przeznaczonych dla jeńców, dwie duże sale na chwilowy odpoczynek dla wracających. Tutaj także panie krakowskie, z Komitetu doraźnej pomocy dla ewakuowanych oraz z innych organizacyi, przygotowały obfity posiłek dla uchodźców, mianowicie chleb, herbatę oraz mleko dla dzieci.

O godzinie czwartej po południu zajechał przed baraki na dworcu towarowym ogromny osobowy pociąg z tułaczami. Ze wszystkich prawie okien wyglądały główki dziecięce, rozglądające się ciekawie po nowem otoczeniu. Rozpoczęło się wysiadanie z pociągu i gromadzenie w przygotowanych salach. I wówczas dopiero można było przekonać się o rozmiarach nędzy tych tysiąca biedaków, którzy, mimo wszystko, woleli raczej własne śmieci w Krakowie, aniżeli przymusowy pobyt w barakach na obcej ziemi. Większość przybyłych stanowiły małoletnie dzieci, dziewczęta i chłopcy, ubogie, nędznie ubrane, przemęczone drogą, dalej grupa kobiet ze sfery robotniczej, wreszcie niewielka ilość mężczyzn i to już starszych, schorowanych, do wydatniejszej pracy fizycznej niezdolnych. Było na prawdę coś rozrzewniającego, a zarazem nieskończenie smutnego w tym obrazie, jaki przedstawiali wracający. Ten biedny, spokojny, karny tłum dzieci i kobiet, gromadzący się z tobołkami, w lizkami i pakunkami w salach barakowych na chwilowy odpoczynek, był najwymowniejszym wyrazem tych wszystkich doświadczeń i udręczeń, na jakie los wojny ich skazał przez długi, bo czternasto miesięczny okres czasu.



Sladem odwrotu Rosyan: Na pobojowisku.

M. J. MIGOWA.

ZAWSZE SAMOTNA.

Obrazek z dni ostatnich.

Panna Amelia powracała ze swej codziennej popołudniowej „hygienicznej" przechadzki. Życie swoje urządziła regularnie, jednostajnie, hygienicznie, zajęta wyłącznie własną osobą, swojem zdrowiem i dogadzaniem sobie, przez wymyślanie coraz to nowych wygód i coraz to smaczniejszych potraw.

Czy miała kiedykolwiek inne marzenia, pragnienia, dążności? Być może. Jeśli jednak je miała, zapomniała już sama o nich.

Młodość jej minęła — szara, żmudna, bezkwietna. Sierota bez majątku, nie odznaczająca się niczem wybitnem — ani urodą, ani większemi zdolnościami, wcześnie rozpoczęła wyczerpującą walkę o chleb codzienny. Biegała z Podgórza na Zwierzyniec lub Dębniki za źle płatnemi lekcyami języków, drżąc z trwogi, aby zręczniejsza lub bardziej uzdolniona rywalka nie wydarła jej lichego zarobku. Zabaw i uciech młodości nie znała nigdy. Nie tańczyła ani razu na balu, nie chodziła na ślizgawkę, ani w lecie na wycieczki, nie miała sobie do wyrzucenia żadnego flirtu, romansu, nie zabawiła się ani razu w trzydniową choćby narzeczoną. Na to wszystko nie miała nigdy ani czasu, ani pieniędzy. Nic więc dziwnego, że w umyśle jej z czasem zarysował się jeden tylko ideał — ideał wygodnego, spokojnego życia, wolnego od walki o kawałek chleba i całe buciki.

Po kilkunastu latach tej żmudnej orki życiowej, tego biegania z domu do domu, z piętra na piętro, spadło na nią niespodziewane szczęście. Po bezdzietnej zmarłej ciotce odziedziczyła wcale pokaźny majątek! ładną kamieniczkę i zupełnie okrągłą sumkę w gotówce. Szczęście to przyszło trochę zapóźno. Panna Amelia zeschła się, zżółkła, zestarzała przedwcześnie, a duchowo zgorzkniała i stetryczała.

Mogła teraz urzeczywistnić swój ideał. Porzuciła lekcye, urządziła sobie wygodne, zaciszne mieszkanie, wzięła zdolną kucharkę i z całym zapałem poczęła dogadzać sobie i pielęgnować się.

Na wszystko inne zobojętniała dawno. I teraz, zdążając powolnym krokiem ku swemu mieszkaniu, obojętnem spojrzeniem ogarnia ożywiony ruch na ulicach, maszerujące oddziały wojska, przejeżdżające ambulanse czerwonego krzyża, jednem słowem to wszystko, co przypomina, że przed kilku tygodniami rozpętała się burza dziejowa — krwawa, niszcząca wojna!

Co właściwie pannę Amelię obchodzić może wojna?! W swoim egoizmie staropanieńskim i bezwzględnym sybarytyzmie zatraciła czucie z duszą społeczeństwa. Jakieś ogólne prądy, dążenia, cudze radości, bóle, nadzieje są jej najzupełniej obojętne. Naturalnie i ona odczuwa skutki wojny. Wszystko drożeje przecież, lokatorzy płacą nieregularnie i domagają się obniżenia czynszu.

To jedyny dla panny Amelii punkt styczny z ogólną zawieruchą.

I teraz, spiesząc z zaostrzonym przez przechadzkę apetytem na podwieczorek, myśli o tem, że bułki zdrożały i są coraz mniejsze, a podobno mają nawet zabronić wypiekać bułek z czystej pszenicznej mąki. Już i tak trzeba było wyrzec się smacznych, chrupiących rogalików.

Panna Amelia westchnęła, przekonana, że na swych barkach dźwiga cały ciężar wojny.

W tej chwili zagrodziła jej drogę młoda, przystojna blondynka w jasnym kostyumie i przywitała ją głośnem:

— Dzień dobry pani! Jakże się pani miewa?

Była to Janka Skalska, jedna z byłych uczennic p. Amelii. Panna Amelia lubiła ją bardzo, bo była pilna, spokojna, pracowita i mało sprawiała kłopotu przy lekcyi... A w swojej karyerze pedagogicznej nie wiele miała biedna nauczycielka takich uczenic. To też z przyjaznym uśmiechem rzekła teraz:

— Jak się masz, Janko? Cóż u ciebie słychać?

— Och! wiele wiele, proszę pani! Jestem już mężatką!

— Co?!

— Tak! Dzisiaj rano odbył się w kościele świętego Piotra mój ślub za indultem, a... jutro mąż mój wyrusza z oddziałem swoim na plac boju... Tak cieszę się, że jestem już jego żoną, ale serce mało mi nie pęka z bolu. kiedy pomyślę, że jutro muszę się z nim rozłączyć.. A tam czeka go wróg, kule, rany — lub śmierć może... — dokończyła ciszej, jakby obawiając się własnych słów.

W głosie młodej kobiety zadrżały łzy.

Panna Amelia milczała zakłopotana. Odwykła dzielić cudze uczucia, nie wiedziała co ma powiedzieć, czy i jakie rzucić słowo pociechy. Tymczasem Janka, spojrzawszy na swoją dawną nauczycielkę, mówiła dalej:

— Pani to szczęśliwa, spokojna! Nikogo pani nie wysyła na wojnę, o nikogo się pani nie lęka, nie zna, co to ból, trwoga, tęsknota! Dla pani wojna nic nie zmieniła! Ale teraz żegnam panią, muszę spieszyć, aby kupić Wackowi kilka rzeczy na drogę.

Rozeszły się.

Słowa Janki bardzo niemile uderzyły pannę Amelię, poruszyły w jej duszy jakąś zapomnianą, dawno zgłuchłą strunę. Zadumała się nad tem, czy rzeczywiście może podrożenie bułek i śmietanki jest niegodną wspomnienia błahostką wobec bólu matki lub żony, która wysyła syna czy męża na wojnę, na bój...

Na ustach panny Amelii zawisł nagle ironiczny uśmiech.

Janka nazwała ją spokojną, szczęśliwą! Czyżby jednak ta młoda, zakochana kobieta zamieniła cierpienie swoje na taki spokój, na takie szczęście?

Napewno nie!

B łaby może panna Amelia dalej snuła tę gorzką refleksyę, ale w tej chwili weszła do bramy swojej kamienicy i myśli jej zwróciły się w inną stronę. Już na schodach poczuła niemiły swąd przypalonego mleka.

Złowrogie przeczucie ogarnęło ją.

To pewnie ta roztrzepana Joaśka przypaliła śmietankę, a w takim razie marzenie o doskonałej kawusi z kożuszkiem obróciłoby się w niwecz.

Niespokojna weszła do kuchni i przekonała się, że jej przeczucie nie omyliło. Śmietanka była przypalona zupełnie!

Panna Amelia oniemiała ze zgrozy i z wyrzutem spojrzała na służącą. Jednakowoż Joasia zdawała się nie zwracać żadnej uwagi ani na oburzenie swej pani, ani na zniszczoną śmietankę. Siedziała przy stole, czytając kartkę poczty polowej, a duże krople łez padały na różowy papier.

— Ach! proszę pani! — zawołała — Mój Staszek pisał do mnie z pola! Został już frajtrem, ale jest w takiej strasznej bitwie... siedzą w jakichś rowach, a Moskale strzelają do nich!... Wicek Balon, najlepszy kamrat mojego Staszka, jest już zabity! Biedny Wicek, on także miał narzeczoną, tę grubą Kaśkę od doktora z przeciwka...

I Joasia zaniosła się głośnym płaczem.

— Ależ Joasiu! — zawołała oburzona panna Amelia — Jak ty pilnujesz swoich obowiązków?! Cała śmietanka na nic! Jakiż to będzie podwieczorek?!

Dziewczyna skoczyła nagle jak oparzona:

— A mnie co obchodzi teraz śmietanka i ten cały głupi podwieczorek! Czy pani to rozumie się na tem, że człowiek ma serce boli... Sama pani jak ten palec, to się pani o nikogo nie troszczy, o nikogo się nie trapi, to się pani chce myśleć ciągiem o rosołkach, pulardkach, śmietance!... A bo to pani wie, co to znaczy...

Panna Amelia nie słuchała dalszego ciągu rozumowań wymownej Joasi. Wyszła do pokoju, zamykając drzwi za sobą.

Czoło starej panny przerznęła przykra fałda, a usta zacisnęły się mocno.

Tak, Joasia miała racyę! Nie rozumiała innych, bo sama nie miała nikogo, o kogoby się troszczyć potrzebowała.

Była bardzo szczęśliwa!

— — — — — — — — — — — —

Na murach domów Krakowa rozlepiono afisze, zapowiadające ewakuacyę twierdzy. Panna Amelia biegała po swojem mieszkaniu, jak w gorączce. Żal jej było opuszczać to zaciszne gniazdko, które z taką starannością jak najwygodniej sobie urządziła. Mogła się wprawdzie zaprowiantować i pozostać, ale z drugiej strony, przerażała ją myśl o tem, jak drogiem i niewygodnem będzie życie w zamkniętej twierdzy.

A cóż dopiero na wypadek oblężenia! Trzeba więc jechać, ale dokąd?! Ile rzeczy zabrać, komu oddać administracyę kamienicy?!

W kłopocie swoim pobiegła do zamężnej kuzynki. Źle jednak trafiła. Kuzynka miała kilkoro dzieci, słabowitego męża i aż nadto swoich kłopotów.

Musiała także wyjeżdżać, oświadczyła więc pannie Amelii kategorycznie:

— Moja kochana, ty już chyba najmniej masz powodów do narzekania, jesteś sama, masz majątek, wszędzie i zawsze dasz sobie radę. Co innego ja z moją gromadą! Głowa mi pęka, jak tu poradzić wszystkiemu.

Panna Amelia wyszła od kuzynki, nie zasięgnąwszy żadnej rady, natomiast z uczuciem dziwnie niemiłego podrażnienia. Przypomniała się jej rozmowa z Janką Skalską z przed kilku tygodni. Analogiczna myśl zaświtała w mózgu starej panny.

Zadała sobie pytanie, czyby ta skłopotana, zbiedzona kuzynka oddała swoją rozwrzeszczaną dzieciarnię za jej spokojną samotność.

I znowu ta sama odpowiedź: nie!

— — — — — — — — — — — —

Na dworcu w Morawskiej Ostrawie panował gwar, tłok, ścisk nie do opisania. Tysiące wychodźców, gnanych falą wojny, dążyły w rozmaite strony. Na peronie piętrzyły się stosy pakunków, tobołków, kufrów, kuferków, wypchanych worków, sienników... Niektórzy z wychodźców uwozili na obczyznę całe swoje mienie ruchome... Rozlegał się płacz dzieci i nawoływanie matek...

Wśród tego tłumu podróżnych znalazła się także i panna Amelia.

Jechała do Pragi, wyrozumowawszy sobie, że w stolicy Czech będzie się można taniej i wygodniej urządzić, aniżeli w przepełnionym, natłoczonym Wiedniu...

Eleganckie kufry swoje nadała wprost do Pragi i obecnie trzymając w ręku dwie ręczne niewielkie walizki, oczekiwała na pociąg... Nagle poczuła, że ktoś szarpie ją mocno za suknię... Obejrzała się i zobaczyła małą, czteroletnią może, jasnowłosą dziewczynkę, która kurczowo chwytając się fałd jej sukni, zanosiła się od płaczu.

Panna Amelia rozglądnęła się wokoło, szukając wzrokiem opiekunów dziecka. Dziecko jednakże zdawało się być samo, nikt bowiem go nie wołał. Pociąg z głośnym świstem wtoczył się na stacyę, podróżni poczęli tłoczyć się do wagonów. Nie było czasu do namysłu, panna Amelia chwyciła dziewczynkę i wsiadła z nią do pociągu. Przez cały czas podróży musiała uspakajać rozpłakane dziecko i trzymać je na kolanach.

Było to bardzo niewygodne i sprawiało wiele kłopotu. Elegancka suknia podróżna panny Amelii zmięła się zupełnie.

Na dworcu w Pradze nikt się po dziewczynkę nie zgłosił, nie pozostawało więc nic innego, jak tylko zabrać ją do hotelu.

Przez całą noc nie mogła panna Amelia zmrużyć oka. Skoro tylko bowiem zaczynała zasypiać, zdenerwowane dziecko, widocznie dręczone przykremi snami, zrywało się z krzykiem.

Stara panna, przyzwyczajona do spokoju i ciszy, wstała rano niewyspana i zmęczona. Postanowiła, że odrazu zawiadomi policyę o obecności dziecka. Tak też uczyniła.

Na policyi jednak oświadczono jej, że dopóki się po dziecko kto nie zgłosi, musi je zatrzymać u siebie. Jeżeliby chciała koniecznie pozbyć się kłopotu, to może oddać dziewczynkę do przytułku dla opuszczonych dzieci.

Po krótkim namyśle panna Amelia zdecydowała się zatrzymać dziecko. Sama nie chciała przyznać tego przed sobą, że mała ujęła ją za serce... Sprawiała jej wprawdzie wiele kłopotu, ale patrzyła tak milutko swemi niebieskiemi oczętami, tak przytulnie, bezradnie garnęła się do niej, jakby instynktownie szukając opieki.

— Nie mogę przecież — usprawiedliwiała się, jakby sama przed sobą, panna Amelia — tak delikatnego dziecka oddać do przytułku... Ładna sukienka i pluszowy płaszczyk wskazują, że dziecko pochodzi z zamożnej rodziny...

Powziąwszy więc postanowienie zatrzymania małej, udała się na poszukiwanie mieszkania, t. j. umeblowanego pokoju zn światłem opałem, obsługą...

Wkrótce skonstatowała ze zdziwieniem, że gospodynie praskie z zadziwiającą jednomyślnością okazują jakąś specyalną niechęć do sublokatorów z dziećmi.

Wszędzie słyszała pytanie:

— Mate děti?

Napróżno ponna Amelia kilka razy, upodobawszy sobie jakiś pokój, usiłowała wytłomaczyć, że ma wprawdzie chwilowo dziecko przy sobie, ale może niedługi czas tylko je zatrzyma.

Nic nie pomagało. Gospodyni wstrząsała głową i oświadczała kategorycznie, że nie przyjmie lokatorki z dzieckiem.

Nareszcie udało się pannie Amelii znaleźć jakąś pobłażliwszą dla dzieci kobiecinę. Musiała jednak zapłacić wyższą cenę.

Mimowolnie westchnęła nad dolą tych wychodźców polskich, którzy mając dzieci, sa zmuszeni szukać w „Zlatej Pradze" „umeblowanego pokoju z obsługą".

Wynająwszy mieszkanie, wprowadziła się panna Amelia razem ze swoją pupilką.

Od małej zdołała się tylko dowiedzieć, że się nazywa Wandzia. Pozatem dziewczynka opowiadała coś bezładnie o jakiejś pannie Julci, która z nią

jechała w tym wielkim, wielkim wozie... Zaczynała jednakże przy tem opowiadaniu płakać i trząść się ze strachu, tak że panna Amelia dała za wygrane wszelkim pytaniom.

Dziecko było bardzo delikatne i ostatnimi wypadkami widocznie zdenerwowane, wymagało więc starannej, troskliwej opieki. Przytem Wandzia okazywała się w jedzeniu wybredną i kapryśną, trzeba jej było dogadzać i pielęgnować ją. Ani się spostrzegła panna Amelia, jak jej własne wymagania i kaprysy zeszły na drugi plan.

Jednakowoż nietrudno jakoś przyszło jej przezwyciężyć swoje przyzwyczajenia, nie narzekała teraz nawet na to, że mała częstokroć budzi ją w nocy...

Śmiech i szczebiot Wandzi napełniał pokój wesołym gwarem... Panna Amelia zdawała się zapominać o tem, że dawniej nad wszystko lubiła spokój i ciszę... Tak jakoś raźnie, jasno było w pokoju z tem małem, ślicznem stworzeniem, które tysiącznymi figlami swoimi wywoływało co chwila uśmiech na usta panny Amelii.

Mała ośmieliła się zupełnie, wdrapywała się na kolana swej opiekunki, obejmowała ją za szyję i dziecinną swoją pieszczotliwą gwarą opowiadała jej różne rzeczy...

Doszło do tego, że panna Amelia, która nie cierpiała zwierząt, trzymała w pokoju kotka dla zabawy Wandzi...

Gospodyni, która znała historyę znalezienia dziewczynki, wzruszała ramionami, patrząc na to.

Nieraz już namawiała pannę Amelię, aby umieściła dziecko w jakim przytułku.

— Poco pani taki kłopot i wydatek? — mówiła. — Toż to dziecko sumy kosztuje.

Rzeczywiście utrzymanie delikatnego, rozpieszczonego dziecka było bardzo kosztowne, a finanse panny Amelii znajdowały się chwilowo nie w najlepszym stanie. Ceny z każdym dniem szły w górę, to też przywieziona gotówka topniała z przerażającą szybkością, a administrator z Krakowa pieniędzy czynszowych nie nadsyłał, tłomacząc się, że lokatorzy jedni wyjechali, inni nie chcą płacić. Nieraz więc szła panna Amelia pieszo dla oszczędności, zamiast wsiąść w tramwaj czy w dorożkę, nieraz odmawiała sobie smacznej potrawy, aby małej kupić jaki przysmak lub zabawkę.

Przemyśliwała już nawet nad tem, czyby nie poszukać jakich lekcyj... Mogłaby w ten sposób łatwiej dogadzać wymaganiom pupilki...

Pewnego razu mała bawiła się lalką, a panna Amelia zajęta była cerowaniem pończoszek dziecka, gdy ozwało się pukanie do drzwi.

— Proszę — rzekła panna Amelia, a do pokoju weszła a raczej wpadła z pośpiechem młoda, elegancka kobieta.

Wandzia rzuciła się ku przybyłej z radosnym okrzykiem:

— Mamo, mamo!

Młoda dama pochwyciła dziecko, uniosła je w ramionach i okryła pocałunkami. Wandzia zarzuciła jej ręce na szyję i omal nie dusiła w uścisku...

Po kilku minutach młoda kobieta, opanowawszy się nieco, zwróciła się do panny Amelii:

— Ja jestem matką Wandzi... Pani była tak dobra, przyjęła małą zaopiekowała się nią... Ach! czemże ja się pani odwdzięczę... Mój mąż jest oficerem na wojnie... Ja byłam chora, leżałam we Wiedniu w klinice... Przechodziłam poważną operacyę... Kiedy przyszła ewakuacya Krakowa, bona miała przywieźć mi Wandzię do Wiednia... Ale to taka roztrzepana dziewczyna... Straciła dziecko z oczu w Morawskiej Ostrawie... Co ja się nagryzłam, napłakałam, com się naszukała... Przypadek sprawił wreszcie, żem się dowiedziała, że dziecko jest w Pradze u pani.... Ja to pani opowiem... Musiała pani mieć z Wandzią dużo kłopotu... Ona trochę kapryśna... Ach! moja wdzięczność, moja wdzięczność... Ja tu zaidę jutro do pani podziękować... Pani musiała mieć duże wydatki... Ale teraz pozwoli pani, nieprawdaż, że ja Wandzię od razu ze sobą zabiorę?

Panna Amelia skinęła w milczeniu głową. Czyż miała prawo nie pozwolić?

Matce spieszyło się, aby zabrać dziecko.

Ubrała je szybko w płaszczyk i kapturek i wśród tysiącznych podziękowań, wzięła za rękę.

Panna Amelia uczyniła ruch, jak gdyby chciała pochylić się nad Wandzią i pocałować ją. Ale dziecko, zajęte odzyskaną matką, nie spojrzało nawet na nią.

Wandzia z matką wyszły, za drzwiami jeszcze posłyszała panna Amelia radosny szczebiot dziewczynki i śmiech szczęścia młodej kobiety, a potem wszystko ucichło.

Panna Amelia mogła być zadowolona, pozbyła się nareszcie kłopotu.

Stara panna spojrzała na porzuconą przez dziewczynkę lalkę, usiadła przy stole, oparła głowę na rękach i nagle, niespodzianie dla siebie samej wybuchła płaczem...

Była znowu samotną...

Marya Segeny.

Wskrzeszona przeszłość.

Ostatni promień gasnącego słońca wpada przez wąskie, przyćmione szyby do małej, ubogiej izdebki. W złotem tem oświetleniu nędzne, stare sprzęty nabierają na chwilę pozornego wyglądu dawnej wytworności.

Niżka, staromodna kanapa z mahoniu pyszni się jeszcze resztkami ciemno wiśniowych odci ni, posrebrzane, misternie rzeźbione okucia błyskają gdzieniegdzie białolśniącą powłoką, a na wybladłych portretach, uwięzionych w złote niegdyś ramy, zapalają się żywe, ciepłe kolory, krwawi się płomienną planią purpura karmazynów, błyszczą tęczowym ogniem karabele wysadzane drogimi kamieniami.

Przy oknie, głęboko zasunięta w duży fotel, obity wypełzłym safianem, siedzi staruszka.

Wyschłe białe dłonie bezsilnym ruchem wsparła na kolanach, machinalnie przesuwając w sztywnych palcach drobne ziarnka różańca.

Głębokie, długie bruzdy, żłobiące się niezatartem piętnem na bladej, woskowej twarzy staruszki, mówią o wielu latach przebytych w trosce i smutku ciężkim, a jasne oczy, wybladłe jak kwiaty starego gobelinu, wpatrzone w wąską, ciemniejącą już uliczkę, przysłonięte są mgłą łzawą...

Od iluż to lat codziennie o zmroku siedzi ona tutaj zasłuchana w monotonny szmer życia małego miasteczka, zamierający powoli pod szarzejącem niebem — oderwana jednak od tego wszystkiego, co wokoło niej się dzieje, zapatrzona w cudną a tak bolesną dla niej wizyę nigdy niezapomnianej przeszłości... Niekiedy wzrok jej przesunie się powoli po szeregu portretów, mieszczących się na przeciwległej ścianie. Wtedy ożywia się twarz staruszki, zagasły w niej płomień życia żywym rozświetli się blaskiem, a mgłą przysłonięte oczy zapłoną wielkiem ukochaniem i tęsknotą.

Ci najdrożsi!

Odeszli wszyscy, pozostawiając ją na łup ciężkiej rozpaczy, która z biegiem lat wielu przycichła, przeobrażając się w cichy smutek, tak związany głęboką nicią z każdym dniem jej życia, z każdą myślą, z każdym drgnieniem duszy — że dziś bez tego bolesnego towarzysza żyć by już nie mogła nadal.

Przeszły lata — wiele bardzo wiele lat, sączące się monotonnie, miarowo, jak uparte krople jesiennego deszczu, przy zgodnym wtórze tykającego zegara z kukułką, smutno wydzwaniającego godziny...

Ostatni zabłąkany promień słoneczny przedarł się przez zmatowaną szybę i padł na najbliższy portret wiszący na ścianie. Pobiegło za nim spojrzenie staruszki. Z portretu patrzała na nią twarz młoda o śmiałym, energicznym wyrazie. I zdało się, że ten nikły, zamierający już promień słońca wskrzesił nagle zamarłe rysy mężczyzny z portretu. Zabiło tętno życia pod warstwą wyblakłych farb, ciepłem spojrzeniem przemówiły ciemne oczy, zadrgała ręka obejmująca rękojeść złotej karabeli...

Oczy staruszki pochwyciły to spojrzenie ciepłe i przywarły do niego, nieruchome, zdumione... I nagle zdało się jej, że te lata, przeżyte w tęsknocie nieukojonej, zapadły się teraz w przeszłość niepowrotną, znikły na zawsze, poderwane gorącym podmuchem powracającej młodości...

Promień pieszczący obraz prześlizgnął się teraz niżej i wkrótce zatonął w zmroku czającym się po kątach izdebki. Ale stan dziwnego upojenia, w jakie zapadła staruszka, trwał dalej, obcy i daleki temu życiu, które nieubłagane i surowe szło dalej biegiem swoim...

I oto staruszka, przeniesiona duszą w pierwsze lata swojej pogodnej młodości, raz jeszcze dzięki tym ukrytym siłom, drzemiącym pomimo wszystko na tajemnem dnie każdego istnienia, mogła przeżyć te chwile radosne a zarazem smutne, które stały się promieniem dalszego jej życia.

Widzi się teraz młodą, pełną sił i marzeń świetlanych w domu swoim rodzinnym, otoczona troskliwą opieką i staraniem. Jest narzeczoną szczęśliwą i dnie jej płyną jasne i radosne, niezamącone chmurką najlżejszą. Ale nagle po kraju zaczynają się rozchodzić wieści głuche i tajemnicze. Do dworku jej rodziców zjeżdżają się ludzie obcy o poważnym, jakby natchnionym wyrazie twarzy i wiodą długie rozmowy z jej ojcem, którego oczy płoną blaskiem niezwykłym i odmładzającym pochyloną już jego postać. A na twarzach wszystkich najbliższych widnieje jakaś nadzieja radosna i powaga.

W kilka tygodni później w starym dworku zapanował ruch niezwykły i gorączkowy... Radosne wieści przyoblekły się w szatę rzeczywistości. Gotuje się wielki dzień! Dzień odrodzenia i chwały. Rozwarły się dusze szeroko i chłoną w siebie chciwie te gorące drgania nowego, zmartwychwstałego życia! I dusza jej młoda, żądna zwycięstwa i czynów wielkich, goreje zgodnie z tym ciepłym prądem, który ją otacza. Czasem łza prędko osuszona zabłyśnie w jej oku, na myśl, że ten jej ukochany i wybrany odejdzie od niej na długie może miesiące, ale żal ten zniknąć musi, wobec nawału wrażeń i potęgi wielkiego czynu, który się gotuje i do którego on lgnie tak gorąco i z takiem niezmożonem pragnieniem.

I nadszedł ten dzień wielkich nadziei. Z gorączkowym pośpiechem wykończa wraz z siostrą misterny haft śnieżnego ptaka, jaśniejącego świetlną plamą na tle purpurowego sztandaru. Ma go on zawieść w bój zwycięski i wielki, z którego powróci do niej wolny i utęskniony.

Krótkie, wyczerpujące pożegnanie w ogrodzie tonącym w zmroku wieczornym.

Oczy jej suche błyszczą wytężonym światłem. Na twarzy spokój, tylko jej dłoń wątła spoczywająca w jego silnym uścisku drży lekko.

— Powrócisz do mnie? Nie zapomnisz?

— Chybabym zginął.

— To niemożliwe. Miłość moja i tęsknota tarczą ci będą!

Poszedł!

Nastały dnie gorączkowego oczekiwania i niepokoju skrytego. W dniach tych dusza jej dziwnie dojrzała, nabrała hartu i powagi...

Ale jednego dnia o zmroku zapukał ktoś cicho do starego dworku. Serce jej zabiło przeczuciem. Wyszła na ganek, spokojnie oczekując wyroku. Przyjaciel jego i towarzysz broni bez słowa wręczył jej pamiątkę ostatnią. List i pierścień, na którym krew skrzepła rdzawe pozostawiła ślady...

I oto teraz skończyło się marzenie jej życia. Cios ten uderzył w jej młodą duszę, jak wściekły pęd wichru, co wątłą roślinę do ziemi pochyla, płatki pierwszego kwiecia bezlitośnie rozsypując po ziemi. Ale rozdmuchał w niej zarzewie wielkiej nienawiści, nieprzemożone pragnienie zemsty i odwetu za krzywdę doznaną i dzięki temu uczuciu i bolesnym wspomnieniom, które ciągle podsycała w sobie, żyć mogła dalej...

Z gorącym niepokojem śledziła bieg dalszych wypadków. A każda przyniesiona wieść smutna lekkim rysem znaczyła jej czoło, przygaszała blask jej oczu...

Odeszli od niej z kolei wszyscy jej najbliżsi. Została sama i czekała. Wiedziała, że ta chwila, na którą w milczeniu i skupieniu czekała lat tyle, nadejść kiedyś musi. Wierzyła w odwet losu i sprawiedliwość, z tym zaciętym uporem natur wyższych i silnych, których wiary niepowodzenia i ciosy zabić nie mogą, ale oblekają tylko kamienną powłoką, pod którą konserwować się będzie, aż do ostatniego tchnienia życia.

I doczekała się w końcu powrotu drzemiących nadziei. Dawną, wskrzeszoną falą przybiegły do niej, ożywiając smutną jej starość, łącząc się w jedno z drugiem wspomnieniem ubiegłych lat. Po raz drugi danem jej było przeżyć te chwile, które jak zdawało się wielu innym, powrócić już nie będą mogły. Zobaczyła znowu na młodych twarzach ten, tak jej znany wyraz dziwnego skupienia i powagi — ujrzała spojrzenia płonące blaskiem nadziei zwycięstwa, wyczuła gorące tętno, bijące zgodnie w rozpromienionych duszach...

Ale jej serce osłabło przez długie lata oczekiwania, umysł przyciemniał pod ciężarem ciężkich myśli, tak, że nie mogła już odróżnić dnia dzisiejszej rzeczywistości, od wspomnień tonących w mroku minionej przeszłości. Zdawało jej się chwilami, że wrażenia tamte przeciągnęły się tylko i trwają dalej równie żywe i prawdziwe.

Kiedy jej wnuk, ostatni łącznik lat starych, odszedł tak, jak niegdyś ukochany jej i żegnała go z niepokojem i radością — to zdało się jej, że nic w jej życiu nie uległo zmianie, że żegna tamtego, który wkrótce do niej powróci, okryty chwałą i blaskiem zwycięstwa.

I dziś właśnie, wsunięta głęboko w fotel, pokryty wypełzłym safianem, zapatrzona w portret wiszący na przeciwległej ścianie, oczekuje z utęsknieniem jego powrotu...

Ciepłe spojrzenie jego oczu mówi do niej dawnem, niezapomnianem uczuciem.

Zmrok coraz cięższy pada na pokój i szara mgła otula stare sprzęty. Za oknem, na wąskiej uliczce przycicha gwar codzienny, od czasu do czasu tylko doleci głuchy turkot przejeżdżającej dorożki i zginie pod ciemnem, zasnutem chmurami niebem. Zadźwięczała silnie ostroga, rozległ się tupot niecierpliwych, spiesznych kroków na schodach.

Do izdebki wszedł młody człowiek w mundurze o błyszczących guzikach z rozjaśnioną, radosną twarzą.

Porwała się staruszka, chcąc biedz na powitanie, lecz wzruszenie odebrało jej siły. Białe, wychudłe dłonie wyciągnęła tylko, jak gdyby chcąc pochwycić to szczęście, które jej powracało po latach wielu, z piersi jej wybiegło długie, ciężkie westchnienie, a głowa ruchem sztywnym i bezwładnym opadła na poręcz fotela.

Wskrzeszona przeszłość powróciła, cichy pocałunek wiecznego pokoju kładąc na jej blade czoło.

KONIEC

Legiony w polu.

W ostatnich walkach na wschodnim terenie, jak donoszą urzędowe komunikaty, wybitną rolę odegrały znowu Legiony, o działalności których „Wiadomości Polskie" podają następujące szczegóły:



Zburzony kościół w Langemarck.



Neuve-Chapelle po zbombardowaniu.

Z walk i zgliszcz na zachodnim terenie:

Dywizya Legionów polskich działa od dnia 6 go września pod naczelnem dowództwem JE. Durskiego i kap. Zagórskiego na nowym dla siebie terenie: na wołyńskiem Polesiu. Podjęta przez nasze siły ofenzywa w kierunku północnym i wschodnim od Kowla dała jak najpiękniejszy rezultat, w krótkim czasie oczyszczając duży szmat ziemi aż po Sochod, przez który przejście już dnia 14 go sforsowano. Pochwały ze strony IV. armii i Naczelnego Wodza dla energicznego kierownictwa sił polskich, jak wreszcie wycofanie oddziałów austryackich, a powierzenie całego odcinka wyłącznie Legionom, były wyrazem istotnego uznania dla wartości wojsk naszych. Ciężkie jednak zadanie padło na polskie siły, zarówno ze względu na teren, jak i odmienną metodę walki.

Niedarmo kotlinę poleską nazwano rebusowym węzłem, ciekawą szaradą dla wszystkich strategów. Wielcy wodzowie, jak Karol XII. i Napoleon, zmuszeni byli ostrożnie wymijać tę głuchą i nieprzystępną krainę, która w swoich lesistych i bagnistych odstępach pochłonąć mogła największe zastępy armii, *ex occidente* idących. I w obecnej wielkiej wojnie, gdy potężna ofenzywa mocarstw centralnych doszła do dzierżaw bagnistego Polesia, dała się zauważyć tendencya do ich ominięcia i obejścia wyżynnymi szlakami. Po zajęciu Kowla armia Bugu skierowaną została na górny szlak północny, litewski, z dyrekcyą na Baranowicze, ważny węzeł kolejowy, czwarta zaś armia, arcyksięcia Ferdynanda, poszła południowym szlakiem, wołyńskim, celem opanowania trójkąta twierdz: Łuck, Dubno i Równo. Przestrzeń pomiędzy tymi szlakami leżącą pozostawiono na razie naturalnej obronie, licząc się z tem, że jest to kraina nie do przebycia dla wojska. Okazało się jednak, że bezwzględne opieranie się na mapach, które zawsze dają pesymistyczny obraz dróg i terenu całego, może zawieść. Wobec bowiem tegorocznego suchego lata stan wody i na Polesiu jest bardzo nizki i teren nie jest tak zupełnie nie do przebycia, jak określa mapa. Nadto tubylcom znane są najtajniejsze ścieżki i drogi, któremi większe oddziały wojskowe można bezpiecznie przeprowadzić.

Z gorliwej pomocy miejscowej ludności — mimo małoruskie pochodzenie szczerze oddanej „batiuszce" carowi — a także z własnej dobrej znajomości te-



Legiony w polu: Budowa baraków.



Powitanie arcyksięcia.



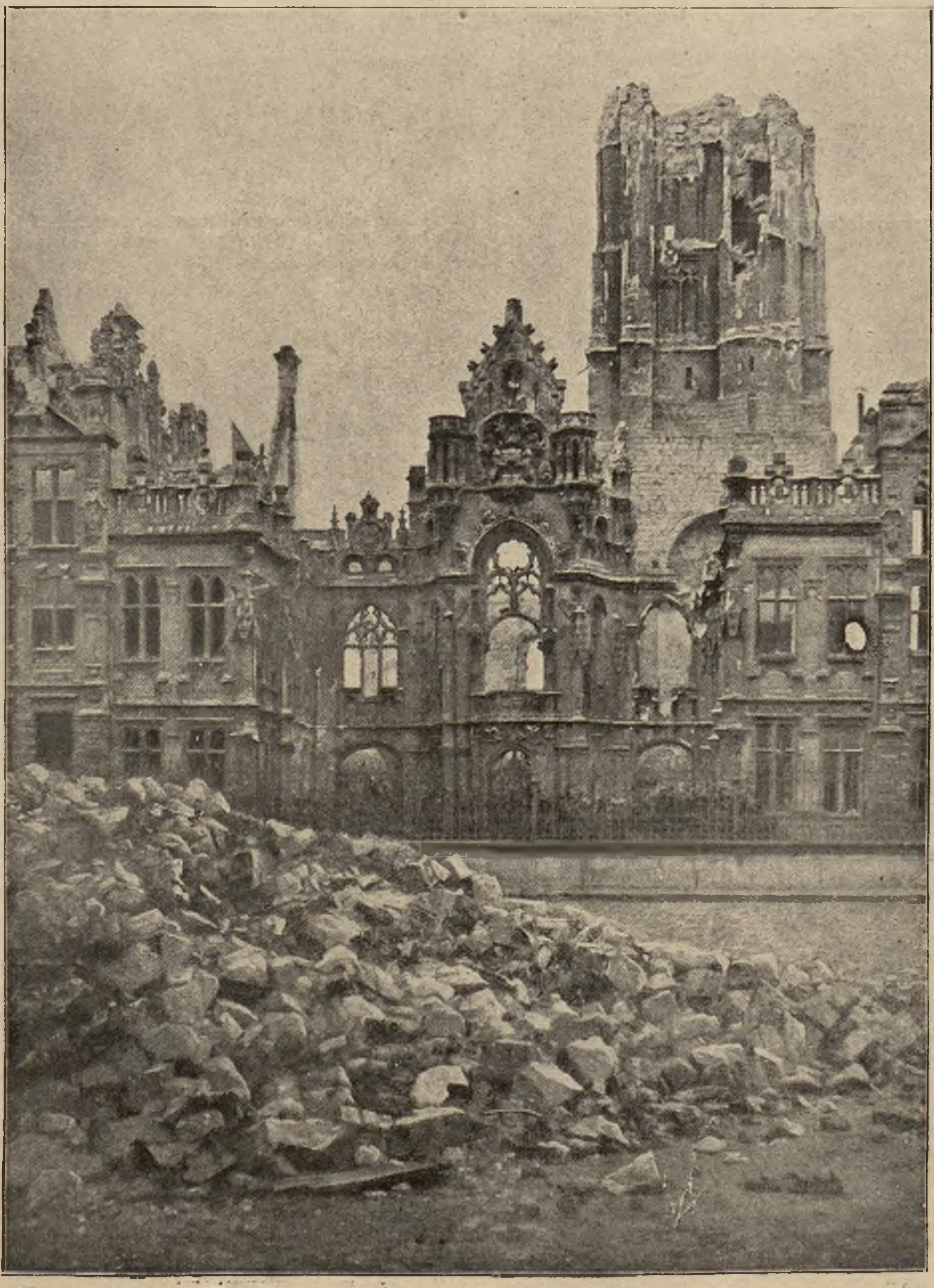
Ar. yks ążę rozmawia z żołnierzami.

Arcyksiążę następca tronu na froncie wschodnim:

renu skorzystali kozacy. Przez błota i lasy przeprowadzili dwie pełne dywizye kawaleryjskie z artyleryą i karabinami maszynowymi i nagle ukazali się na tyłach wojsk sprzymierzonych, zagrażając poważnie połączeniu Kowla z Chełmem i Brześciem Litewskim. Znajdujące się w tych stronach oddziały okazały się za słabe do odparcia niespodzianego napadu; to też z wielkim pośpiechem z poza Brześcia Litewskiego przerzucono dywizyę Legionów, wyznaczając jej szczytne, acz ciężkie zadanie oczyszczenia południowo-zachodniej części Polesia, na wschód i północ od Kowla.

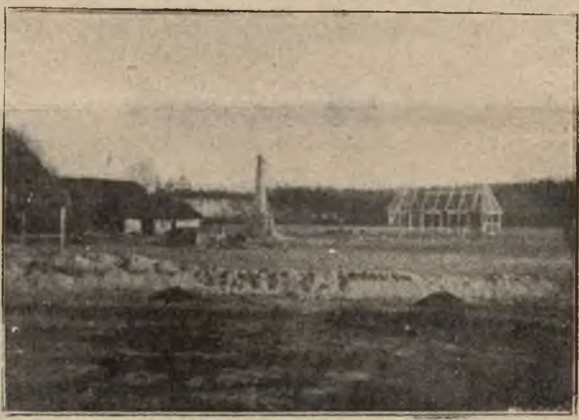
Z trudnego tego zadania Legiony wywiązały się chlubnie, co zaznaczono w licznych pochwałach, ogłoszonych w rozkazach komendantów armii, walczących na tym terenie.

W ciężkich walkach znalazły się zwłaszcza Legiony nad Styrem. O ile sforsowanie linii Styru w górnym biegu udało się stosunkowo szybko osiągnąć, o tyle w średnim biegu rzeki zadanie to na trafiło na twardy opór. Szło tutaj bowiem o obronę ważnej linii kolejowej, prowadzącej z Kowla wprost do Kijowa, a na niej ważnego punktu węzłowego, Saren. Na tym więc odcinku wytężyli Rosyanie wszystkie swe siły i tu przedewszystkiem usiłowali (i dotąd usiłują) przejść do ofenzywy. W rezultacie doprowadziło to do zaciętych, długotrwałych walk nad środkowym biegiem Styru, które w swym końcowym momencie zogniskowały się koło Kostiuchnówki. W walkach tych Legiony polskie, jako jedyna piechota, wspomagająca działanie konnicy, operującej tam po obydwu stronach toru kolejowego, dokonały nowych bohaterskich czynów, swojem męstwem i wytrzymałością decydując o zwycięstwie.



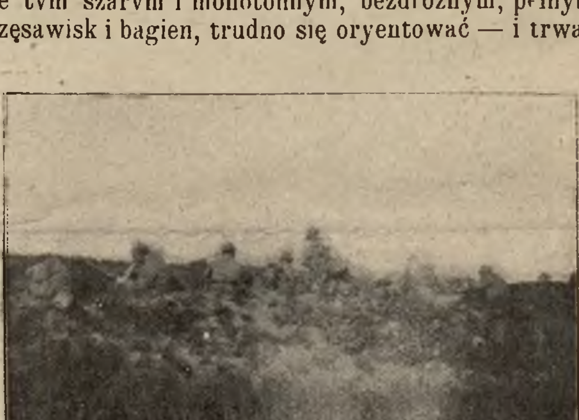
Z walk i zgliszcz na zachodnim terenie: Ratusz w Arras.

Ciekawą charakterystykę walk, jakie toczą obecnie Legioniści, daje p. Julian Kaden. Walki obecne —



Legiony w polu: Okopy pod wsią.

pisze — to ani walka partyzancka, ani walka pozycyjna (jak nad Nidą) ani nowoczesna wielodniowa bitwa (jak pod Krzywopłotami, czy Łowczówkiem). Walki obecne, to zmaganie się uciążliwe, uparte w zdradliwym, mokrym terenie, ze skrzydłami opartemi o błota, z frontem godzącym w las. Na terenie tym szarym i monotonnym, bezdrożnym, pełnym trzęsawisk i bagien, trudno się oryentować — i trwać



Legiony w polu: Ostrzeliwanie nieprzyjaciela.

trudno. Wsie rozsiane tu są bardzo rzadko, zaskórna woda uniemożliwia okopanie się linii. Żołnierz wykrawa przedpiersie okopu w torfowisku, stoi w swym rowie pół na pół w wodzie, płaszcz mu przymarza do ziemi.

Dwa razy w końcu ubiegłego miesiąca wypadło prowadzącemu I. brygadę podpułkownikowi Smigłemu, jego oficerom i żołnierzom wszystkie wytę-



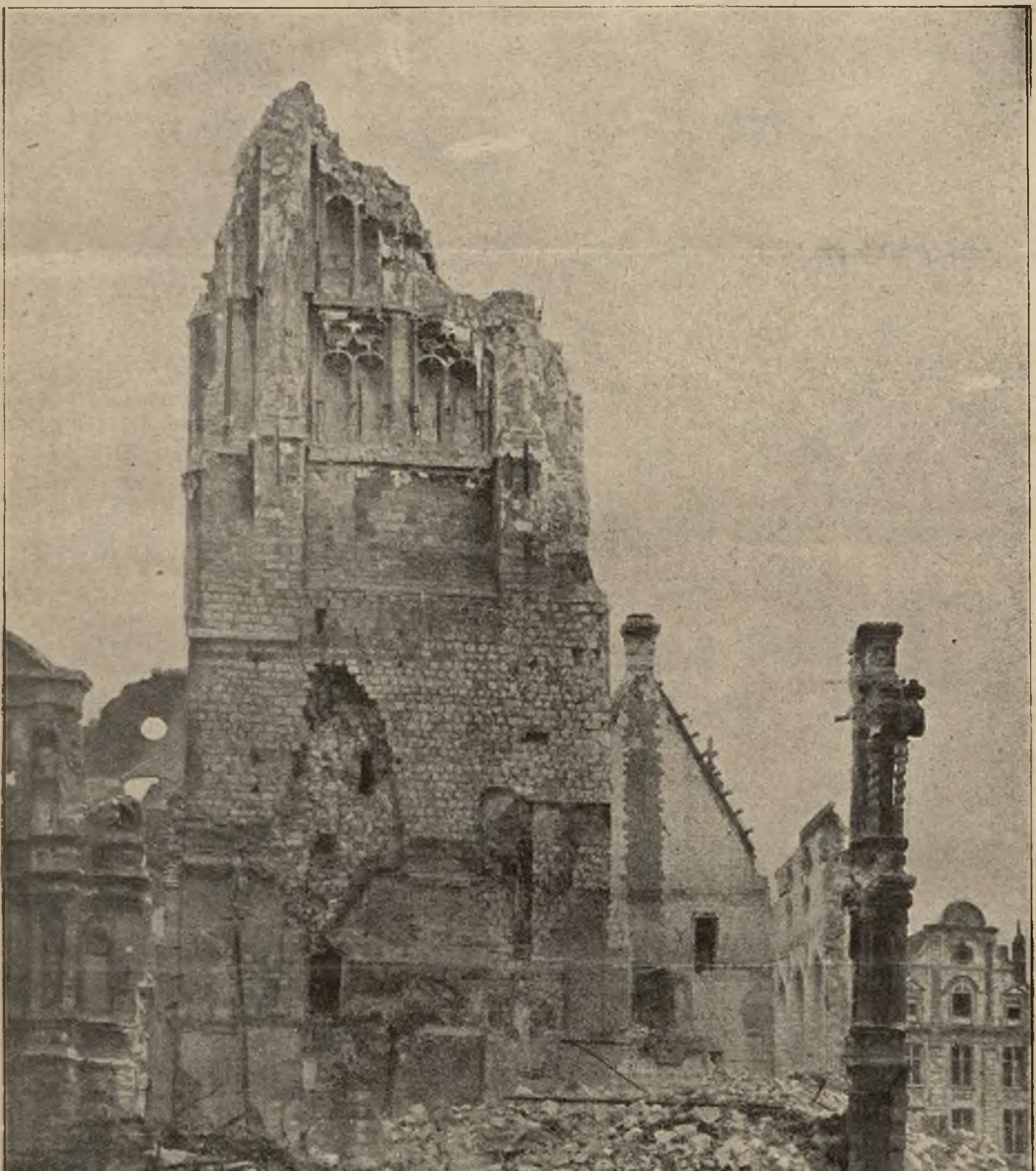
Legiony w polu: Artylerya na pozycyi.



Z walk i zglisz na zachodnim terenie: Na pobojowisku pod Vermelles.

żyć siły, by owładnąć kluczem pozycyi. Raz przy ataku na wieś... drugi raz w parę dni później przy forsowaniu wsi... Podczas szturmu na... znakomicie się odznaczył pułk I., podchodząc do okopów nieprzyjacielskich bez wystrzału, biorąc je szturmem, a odbiwszy kontratak rosyjski, utrzymał się na pozycyi w krzyżowym ogniu rosyjskiej artyleryi i piechoty.

W tak trudnych i ciężkich warunkach walczą nasi Legioniści. którzy, jak poprzednio, tak i teraz okryli znowu sławą oręż polski.



Z walk i zglisz na zachodnim terenie: Ruiny katedry w Arras.

Medal „zniszczenia Polski".

Straszne przejścia. jakie spadły na Polskę w obecnej wojnie, upamiętniło specyalnie wybitym medalem krakowskie Towarzystwo numizmatyczne. Na jednej stronie tego medalu, który wykonał p. Jan Wysocki z Monachium, znajduje się artystycznie wykonana grupa, przedstawiająca Chrystusa rozdającego chleb dzieciom i napis: „Polonia devastata 1915. Panem nostrum quotidianum da nobis hodie" (Polska zniszczona — 1915. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj). Na drugiej stronie znaj-





Medal „zniszczenia Polski": Medal wybity przez Towarzystwo numizmatyczne w Krakowie.



Z walk i zgliszcz na zachodnim terenie: Wybuch granatu.



Arcyksiążę następca tronu na froncie wschodnim: Arcyksiążę przyjmuje raport oficera sztabu.

dują się wykonane z wielką subtelnością w rusunku i podobieństwem podobizny zasłużonych a tak głośnych dziś na całym świecie rzeczników „zniszczonej Polski" — księcia biskupa krakowskiego Sapiehy, Henryka Sienkiewicza i Ignacego Paderewskiego.

Illustracye nasze przedstawiają obie strony medalu w naturalnej wielkości.

Arcyksiążę następca tronu na wschodnim froncie.

Dzielna nasza armia, która na wschodnim froncie zmaga się z nieprzyjacielem i krok za krokiem wypiera go z zajmowanych pozycyi, gościła niedawno



Obałamucone ofiary: Nieistniejący już „legion polski" po stronie rosyjskiej.

u siebie arcyksięcia następcę tronu, Karola Franciszka Józefa.

Dostojny gość przybył w towarzystwie swej świty i zwiedził pozycye, zajęte przez wojska austryacko węgierskie, informując się szczegółowo o sytuacyi. Przy tej sposobności zaszczycił rozmową wielu oficerów różnych stopni i żołnierzy, rozdał też własnoręcznie cały szereg odznaczeń za okazane męstwo.

Postawa wojsk zrobiła na arcyksięciu jak najlepsze wrażenie, wobec poszczególnych komendantów wyraził też swe zupełne zadowolenie i zapewnił, iż zawiadomi o tem cesarza.

Tak armia, jak i ludność miejscowa witała arcyksięcia owacyjnie.

Szereg illustracyi, zamieszczonych w niniejszym numerze, przedstawia poszczególne sceny z pobytu arcyksięcia wśród naszych wojsk na wschodnim terenie walki.



Z walk i zgliszcz na zachodnim terenie: Zburzona wieś francuska.

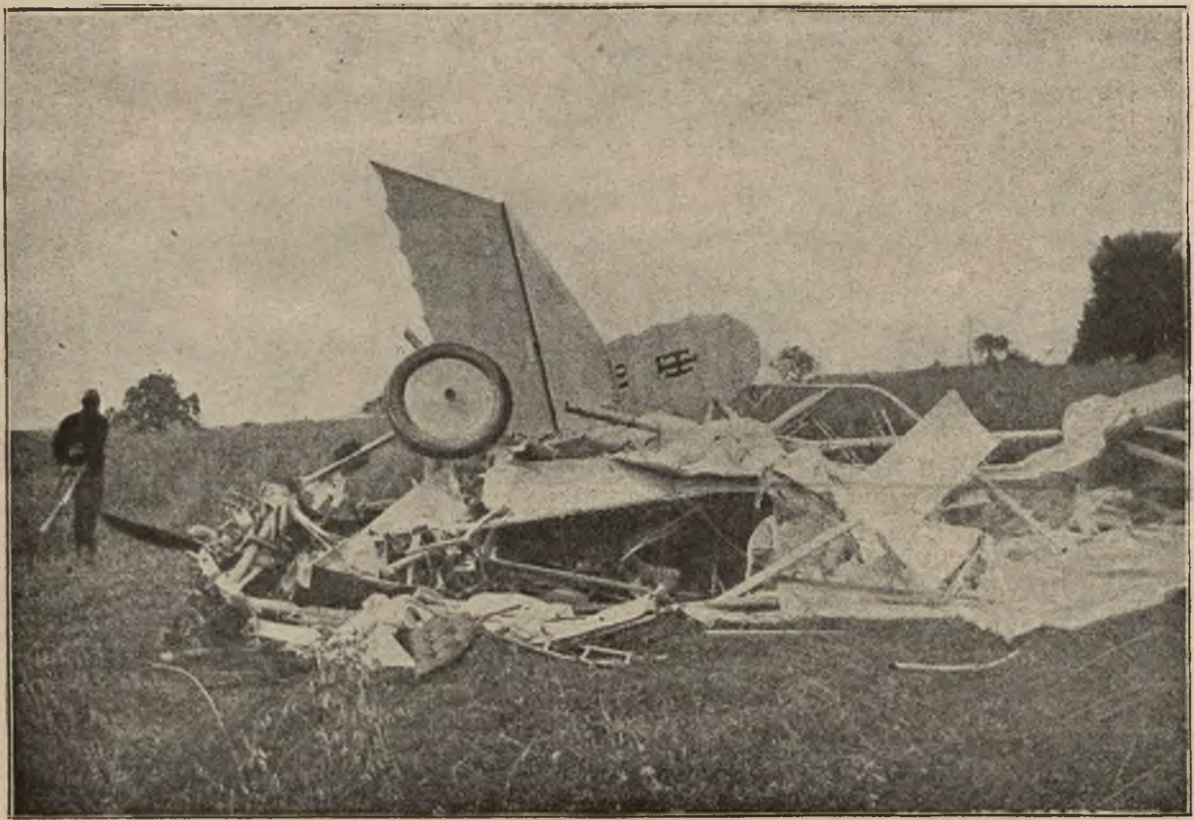
Ze sceny i estrady.

Wobec zajęcia Starego teatru, muzyka zamieszkała znowu kątem w „Sokole“, gdzie jej przez tyle lat było dobrze. Publiczność, spragniona muzyki po tak długim przymusowym głodzie, nie zważa zresztą na mniejsze wygody, jakich ta niezwykle akustyczna sala udziela i garnie się tłumnie na koncerty. Po wiolonczeliście Hekkingu, wystąpi teraz znakomity skrzypek Jarosław Kocian. Okrzyczany niegdyś, jako jedyny rywal Kubelika, zadał Kocian kłam wszzstkim, którzy mu ten epitet przypięli; poszedł drogą muzyki poważnej, na której laury może nie przychodzą tak doraźnie, ale zato są trwalsze i szlachetniejsze. Gdzie Kocian raz grał, tam już może zawsze powracać, bo swoją głęboką, ciepłą i prostą sztuką musi ująć każdą publiczność, która dla tych zalet ma zrozumienie. Toteż, gdy w zeszłym roku zawitał po długiej przerwie znowu do Krakowa, porwał i oczarował słuchaczy, tak że o tym wieczorze długo jeszcze potem mówiono z entuzyazmem.

Podczas wojny Koci n oddał bez zastrzeżeń swą sztukę w usługi celów humanitarnych. Niema może drugiego artysty, któryby występował w tylu koncertach dobroczynnych i tyle razy bez rozgłosu po szpitalach wojskowych grał dla rannych i chorych żołnierzy. Ten szczegół chlubnie świadczy o gorącem współczującem sercu artysty, które też z jego muzyki promieniuje suggestywnie prosto do serc słuchaczy.



Z walk i zglisz na zachodnim terenie: Ziemia podziurawiona pociskami.



Z walk i zglisz na zachodnim terenie: Zniszczony aeroplan.



Obrazki wojenne: Deputacya wójtów przed komendantem austryackim na Wołyniu.

Obałamucone ofiary.

Niestety, na wszystkich frontach leje się krew polska. A jakby zamało jaszcze było tej krwi, rząd rosyjski obłudnemi obietnicami i presyą starał się powiększyć liczbę ofiar polskich, organizując także oddziały ochotników polskich. Trzeba jednak przyznać, że Królestwo Polskie nie dało się otumanić. Na apel rządu rosyjskiego stanęła tam pod bronią bardzo nieliczna garstka ochotników, ale i ten „legion polski“, poznawszy się szybko na istotnych zamiarach rządu rosyjskiego, rozwiązał się, zamykając tą demonstracyą antirosyjską legendę o „Legionach polskich“ w zaborze rosyjskim, o których w swoim czasie szeroko pisano. Dziś nie ulega wątpliwości, że próby rosyjskie w tym kierunku spełzły na niczem, a właściwie skończyły się fiaskiem, a najlepszym tego dowodem jest właśnie fakt, że zorganizowany już tam oddział ochotników polskich — pod presyą społeczeństwa polskiego przestał istnieć. Że go niema teraz, to już stwierdzono niezbicie, a że był, o tem świadczy wymownie nasza illustracya, przedstawiająca te obałamucone ofiary rządu rosyjskiego w Puławach.



Obałamucone ofiary: Chorąży oddziału polskich ochotników we Francyi, Szujski.

Przy tej okazyi zamieszczamy również inną ofiarę, obałamuconą przez sojuszniczkę Rosyi — Francyę. Jest to chorąży nielicznej garstki polskich ochotników we Francyi, Szujski, który, jak już wiemy z doniesień pism — zginął w jednej z bitew.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

21

Janina przytakiwała gorąco steroryzowana i bierna, czując rosnącą z każdą chwilą żywą wdzięczność dla swojego wybawcy.

— Jakże wywdzięczę się panu za tyle dobrodziejstw — szepnęła wzruszona.

— Nie mówmy o tem błagam panią.

Po chwili wahania młoda dziewczyna zapytała nieśmiało:

— Sądzę, że obecnie pani markiza czuć się musi bardzo szczęśliwą — powrót niespodziewany jej syna i to małżeństwo.

— Tak — odpowiedział Delrue krótko. — Wszystko się dla niej pomyślnie ułożyło.

Odpowiedź ta zaciążyła na duszy Janiny, jak kamień. Był to już koniec jej zuchwałych marzeń. Ostatni promień nadziei, pielęgnowany w jej sercu, zgasł teraz nagle i nieodwołalnie

Po krótkiej pauzie zdobyła się jeszcze na jedno pytanie:

— Zapewne zamek Kermor zostanie teraz zamieszkany?

Delrue zrozumiał jej niepokój i pospieszył ją uspokoić.

— Zdaje mi się, że już nigdy do niego nie powrócą. Bankier de Bressien kupił go od markiza de Kermor w zamiarze odsprzedania go z korzyścią. Markiz nudził się tam w niemożliwy sposób, a hrabia Henryk przepełniony jest pragnieniem oglądania południowych krajów Afryki. O dziedzicznym swoim zamku w Bretanii, zdaje się, że zapomniał zupełnie. Muszę jeszcze pani powiedzieć — dodał powodowany ostrożnością — że nie ujrzy już pani nigdy nikogo z rodziny Kermorów. Nie żywią do pani żadnego żalu, czy niechęci, jednakże nagłe zniknięcie pani zmroziło ich cokolwiek i chcą o pani zapomnieć. Bo gdyby choć znali przyczynę, która panią skłoniła do tak nierozważnego kroku.

— I dziś jeszcze nie mogłabym im tej przyczyny wyjawić — odpowiedziała smutnie Janina.

— Nie jestem niedyskretnym, panno Janino. Konstatuję jedynie fakta.

— To prawda. Przyznaję, że zawiniłam, ale nie mogłam inaczej uczynić.

Przechodząc obok jakiegoś zadymionego szynku, Delrue nagle cofnął się przerażony. Zdawało mu się, że poza okopconą szybą dojrzał potężną sylwetkę Barykady i dosłyszał głos jego donośny.

Pociągnął za sobą Janinę i przyspieszył kroku. Idąc dalej, starał się jednak wytłomaczyć to złudzenie, któremu niespodziewanie uległ. Przecież Barykada nie mógł się tu znajdować. Albo uciekł i przebywa gdzieś daleko, albo siedzi zamknięty gdzieś w więzieniu. Wiecznie więc niepokoić go będą te przeklęte wizye przeszłości: Janina, Luiza, apasz, pan Collin Megret i baron de Bressien! Jedna z nich nareszcie, Janina le Brenn, wkrótce przestanie go prześladować swoją osobą! Podstępnie ułożony program, mający na celu usunięcie jej na zawsze z widowni Paryża, udał się doskonale. Nikt nie śledził ich ucieczki i nie miał zamiaru stanąć w poprzek jego kombinacyi.

Delrue powodowany nagłą uprzejmością dla swojej ofiary, kupił na dworcu koszyczek z prowiantem i wręczył Janinie, nagląc ją równocześnie, aby prędko siadała do pociągu.

Młoda dziewczyna, silnie wzruszona i przepełniona wdzięcznością bez granic, uściskała gorąco jego ręce, szepcząc jakieś słowa podziękowania.

Pociąg, który zatrzymał się na krótko w Wersalu, ruszył dalej, uwożąc ją w stronę ukochanych stron rodzinnych. Długo jeszcze powiewała chusteczką, żegnając Andrzeja Delrue stojącego na platformie.

Po chwili zawrócił w stronę wyjścia, uśmiechając się tryumfująco:

— Szczęśliwej podróży, moja mała — zaśmiał się ironicznie. — Baba z wozu, koniom lżej! A teraz Delrue zasłużyłeś sobie na dobry obiad. Chodźmy do miasta.

— — — — — — — — — — — — — —

Wśród ciemnej, nieprzebranej nocy pospieszny pociąg pędzi z całych sił, sapiąc i dysząc ciężko. Wydaje się być jakimś gigantycznym potworem, biegnącym do jemu tylko wiadomego celu, bezwzględnie niszcząc i depcząc po drodze wszystko, co stać się mu może przeszkodą.

Kilka krótkotrwałych przystanków, cisza nocna przerwana jękliwym gwizdem i syczeniem pary, nawoływania konduktora rzucone monotonnym, zmęczonym głosem: Chartres, Laval Mans... i znowu przyspieszony gorączkowy pościg przez puste, ciche pola i lasy.

Rennes! Pociąg wieżdża na ziemię Bretanii, pędzi wzdłuż wonnych wybrzeży morza. Orzeźwiający, słony podmuch pieści twarz Janiny. Gorączkowe wypieki spowodowane bezsennością wybiegły na nią, ale w oczach błyszczą jasne promyki. Różowy blask pada na jej jasną głowę. Poświt wstaje promienny i zuchwały, odrzucając wstecz ciągnące jeszcze długiem pasmem ostatnie mgły nocy.

Swit wstaje i z nim nowa radość wstępuje w serce Janiny. Podchodzi do okna i rozczulonem spojrzeniem obejmuje rozkwiecone pola i łąki. Złocą się one i różowią w pierwszych blaskach wschodzącej jutrzenki. Przed oknami wagonu przesuwają się olbrzymie, wybujałe świerki i wiązy dziwacznie pokręcone.

Przystanek. Janina lekko wyskakuje z wagonu. Za budynkiem kolejowym oczekuje wielka landara przewożąca podróżnych do Roche-Kermor, ubogiej wioski rybackiej. Janina le Brenn odwróciła się szybko na jej widok, aby nie być poznaną przez starego w żnicę, który dziwi się bardzo, że taka miejska panienka decyduje się iść pieszo po wyboistej, pełnej kamieni drodze aż do sioła.

Janina spieszyła się, łagodne wzruszenie przyspieszało bicie jej serca. Przez pola i łąki szła, wybierając znajome sobie ścieżki. Doszła już do plaży, pokrytej warstwą złotego piasku, do miejsca, gdzie zazwyczaj kąpała się będąc dzieckiem. Tam, w głębi rysuje się wyraźnie rząd białych domków napół ukrytych w bujnej zieleni. To Roche Kermor. Ten pierwszy zaraz z brzegu, obok budki strażnika, to jej domek, jedyna spuścizna po rodzicach. Przyczajony jest do fantastycznej skały, jak gniazdo dzikiego ptaka. Janina zręcznie kilkoma susami wydobyła się na bystry szkarp pokryty trawą morską i wikliną. Stanęła na szczycie i rozejrzała się wokoło. Zamek Roche-Kermor wznosi się wspaniały i ciężki na podnóżu skał rdzawych, bieli się kościół o wyniosłej, błyszczącej dzwonicy, z wysmukłych kominów rybackich domów unosi się dym biały i wisi jak mgła w powietrzu. Janina biegnie do swojego domku. Zastaje furtkę ogrodzenia szczelnie zamkniętą, więc bez namysłu przeskakuje zwinnie do ogrodu. Starannie jest utrzymany i obok grządek karczochów, cebuli, kapusty, pysznią się w słońcu wybujałe krzewy o różnobarwnych kwiatach.

— Żona Ivona, strażnika, jest dobrą gospodynią — myśli z zadowoleniem Janina — i szczerze zaopiekowała się moim ogródkiem. Radość jej jest niezmierna, w sercu pełno dobrych, dziecinnych uczuć i rozmarzenia. Te straszne, przeżyte lata w Paryżu, wydają jej się już snem jakimś dalekim! Maleńkim kluczykiem, wydobytym z kieszeni, otworzyła drzwi domu, jęczące trochę na zardzewiałych zawiasach. Wszystko tu jest w porządku i lśni od czystości. W rogu pokoju wznoszą się wysokie bretońskie łóżka, z szczelnie zasuniętemi czerwonemi firankami, obok wielka szafa dębowa, z prostotą rzeźbiona, na półkach, grube, fajansowe talerze, rondle miedziane i różne drobiazgi. Na obszernym kominku wazony ze sztucznymi kwiatami i figurynki z porcelany. Wiszą nad nim dwa. wyblakłe już portrety: Ivona le Brenn i Maryi Anny, rodziców Janiny.

Młoda dziewczyna długą chwilę wpatruje się w nie z rozczuleniem, szepcząc do nich jakieś ciche słowa tęsknoty i wdzięczności.

Stare rachunki.

Zdawało się Andrzejowi Delrue, że przechodząc koło szynku w Menil Montant, dostrzegł niebezpieczną sylwetkę swojego wroga apasza Barykady, lecz prędko przypuszczenie to odsunął od siebie i zaczął myśleć o czem innem, nie zwracając uwagi na to, co się za nim dziać mogło. Jednakże powinien był baczniejsze oko zwrócić w tę stronę.

Barykada po udanej ucieczce swojej wskoczył był do tramwaju idącego w stronę Hal. Miał tam w zaułkach kilku dobrze ukrytych oddanych mu i pewnych wspólników, na których pomoc mógł liczyć w każdej chwili. Nie była to co prawda jego dzielnica, bo Barykada operował najchętniej w dzielnicy t. zw.: Marcina, lecz znany tu był dostatecznie i ceniony w tem stowarzyszeniu zbrodniarzy, w którem solidarność była bardzo cenioną W godzinę później Barykada dostał od nich to, czego najwięcej na razie potrzebował. Był tak artystycznie przebrany, że najwprawniejsze oko policyanta nie byłoby go poznało pod tem przebraniem. Miał na sobie prawie nowe ubranie w wielkie kraty, bluzę niebieską, gruby łańcuch u kamizelki, twardy filcowy kapelusz i potężną laskę w ręce. W kieszeni zaś spodni dzwoniło kilka sztuk złota i cienki, dobrze wyostrzony nóż na wszelki wypadek. do surduta wsunięto mu portfel skórzany, zawierający papiery identyczności na nazwisko jakiegoś poczciwca, z zawodu robotnika.

— A teraz wal do swoich interesów, towarzyszu — powiedziano mu na pożegnanie. — Jesteś piękny jak Cezar!

— Potrzebuję na razie przechadzki na świeżem powietrzu — odparł Barykada, przechodząc koło Menilmuche, wstąpię po Flora.

Barykada miał zdecydowaną słabość do tego zdeprawowanego i niebezpiecznego ulicznika i przez cały czas swojej przymusowej niewoli tęsknił szczerze za nim.

W jakiś czas później „Postrach kanału“ siedział w towarzystwie Totora, we wstrętnej knajpie, zadymionej i cuchnącej niemożliwie. Na brudnym stole stała przed nimi butelka kwaśnego wina, Barykada z łokciami wspartymi szeroko na stole, przysłuchiwał się z baczną uwagą opowiadaniu małego apasza, ktorego oczy świeciły się, jak dwa karbunkuły. Totor zdaje swojemu staremu przyjacielowi sprawę z wydarzeń i „roboty“ uczynionej w ostatnich tygodniach, w czasie jego nieobecności.

— Wiesz stary — mówi Totor — ta Eliza, córka Jakóba posługacza z ulicy św. Antoniego...

— No co? Złapali ją? Szkoda, była nam potrzebna.

— Nie to. Jest na wolności i zdrowa jak rybka. Tylko zachorowała na moralność i teraz siedzi w domu u ojca i ani dzióbka nie wyściubi na ulicę. Nie podoba ci się to, stary, ale co robić, tak z nią jest niestety.

— A wyście jej trochę nie poturbowali i nie nauczyli rozumu, niedołęgi! Ażeby was! taka do rzeczy brzana, wlazła mi w oko jak bolączka.

— Czekaliśmy na ciebie — nie mogliśmy bez ciebie nic robić! Myśleliśmy, że taki był może twój rozkaz.

— Co znowu? Albo ja to głupi! Ja bym ją oddał rodzinie, ja, Barykada?! — Czyście poszaleli wszyscy?

— Skoro powróciłeś, niema strachu. Obłaskawimy ją jak potrzeba.

— Mnie ją zostawcie. Rozprawię się z nią, aż mnie popamiętają na ulicy św. Antoniego! A do krocset! Eliza! krew mnie zaleje!

Uderzył olbrzymią pięścią o stół, aż szyby zadzwoniły.

— I co dalej? — zapytał po chwili ochrypłym głosem.

— Dalej? jest coś dobrego — odpowiedział Totor, mrużąc oczy.

— Gadaj!

— Ten blondynek, co to zamówił ostatnią robotę.

— Delrue — Andrzej Delrue.

— Oh! Wiesz jak się nazywa?

— Coby nie! I nazwisko i zajęcie i miejsce zamieszkania.

— Sekretarz Kermorów?

— Prawdę mówisz, Totor — Co z nim?

Ale Totor nie miał już ochoty mówić dalej; rozczarowany był i niezadowolony. Barykada dotknął go boleśnie. Myślał, że będzie mógł przed nim poszczycić się dobremi wiadomościami, a tu on już wiedział o wszystkiem.

— A skąd ty wiesz o nim? — zapytał, krzywiąc się nieprzyjemnie.

— Mam przyjaciela między policyantami — odparł spokojnie Barykada. — A ty?

— Ja śledziłem gościa uczepiony u resorów jego dryndy. Przecież się na nim zemścić muszę:.. to szpicel.

— Nie — zaprzeczył Barykada. — Ale i nie wart więcej. Jego przełożony to całkiem coś innego. no wiesz, ten, co na nas łapę położył na ulicy Entrepot.

— Ah! to był Kermor?

— Właśnie. Hrabia de Kermor. Dzielny i odpowiedzialny chłop.

— No to pocóż on popsuł „robotę“ tamtego, kiedy jedną sztamę trzymali?

— Otóż to, trzeba się o tem dowiedzieć i odebrać swoje pieniądze, bo inaczej ja się zaopiekuję tym Delrue. Już dawno ciąży mi ta sprawa, chcę sobie ulżyć.

— Cicho, stary — szepnął nagle Totor. — Nie wrzeszcz tak i puść oko na ulicę.

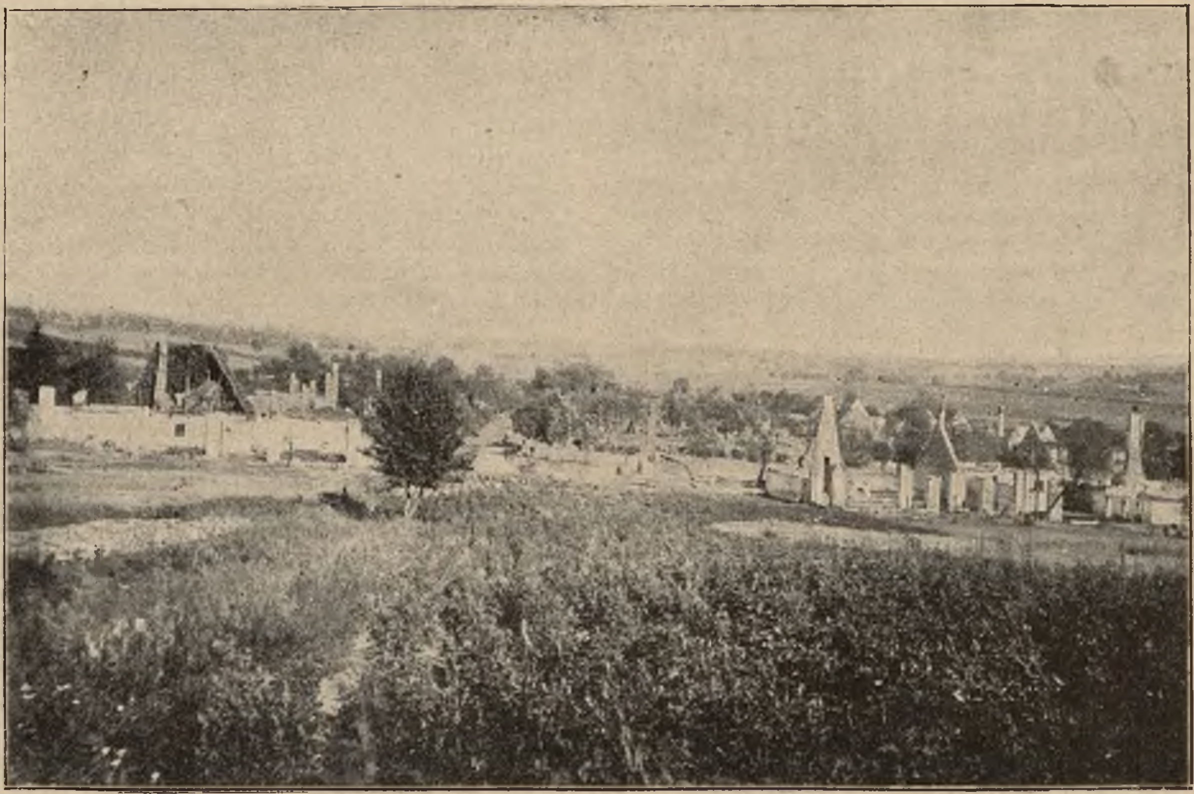
— Poco? Nic nie widzę.

— Nic nie widzisz? Powiadam ci, otwórz oko i zamknij gębę. No i cóż?

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Ze sceny i estrady: Jarosław Kocian.



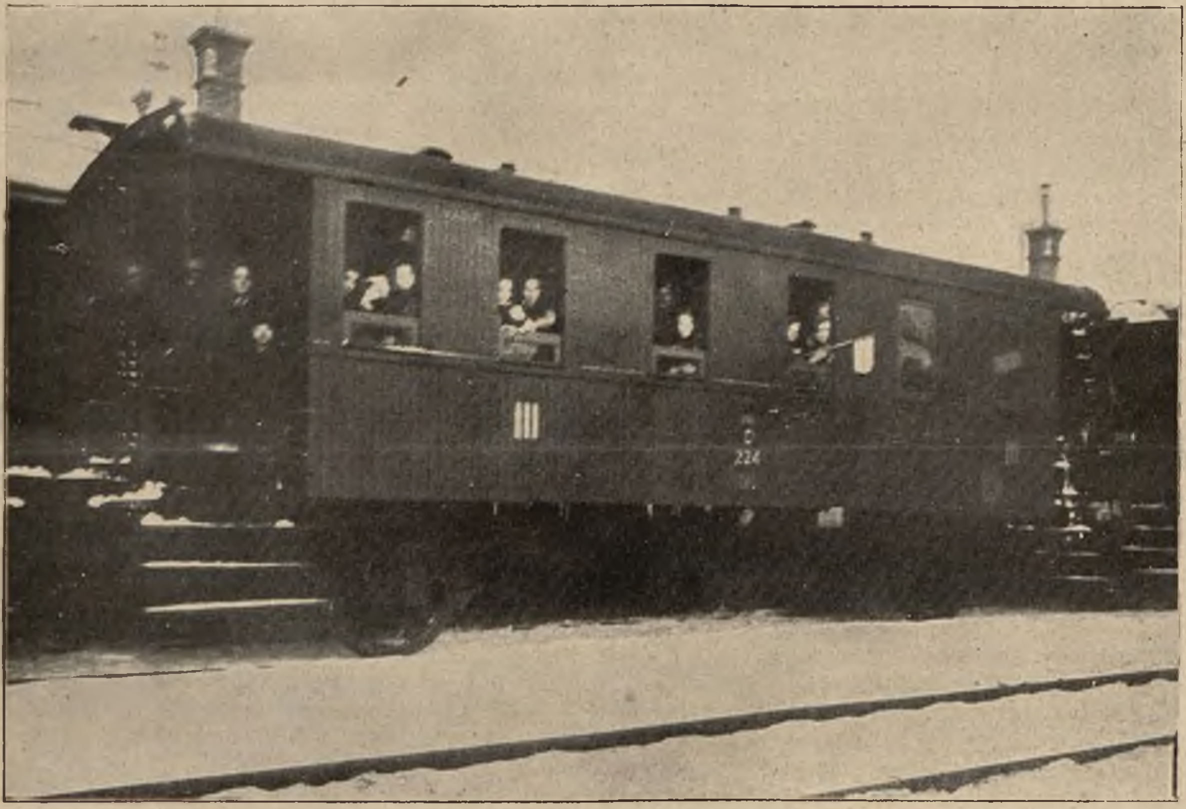
Śladem odwrotu Rosyan: Spalony Ożarów.

Śladem odwrotu Rosyan.

Gdy wojska sprzymierzone zmusiły Rosyan do opuszczenia Królestwa Polskiego, ustępujący nieprzyjaciel chwycił się taktyki z roku 1812 i cofając się z ziemi polskiej, gdzie tylko mógł i co tylko mógł, palił i niszczył wszystko za sobą. W ten sposób wsie i miasta, które zostały oszczędzone w ogniu walki, legły w gruzach pod obuchem zemsty rosyjskiej.

W poprzednich numerach zamieściliśmy już cały szereg illustracyi, przedstawiających zgliszcza wsi i miast, poburzonych przez Rosyan w czasie ich odwrotu. W niniejszym numerze dajemy fotografię spalonego Ożarowa i kilka innych zdjęć, a między innemi świetnie urządzone okopy rosyjskie pod Lublinem. Wyparto z nich Rosyan, pomimo, iż szańce te były ostatnim wyrazem techniki wojennej. Z frontu były wyłożone workami z piaskiem, a na górze posiadały grube nakrycia belkowe. Wewnątrz mieścił się cały labirynt ganków, przechodów i izb z łóżkami, stołami i innymi meblami, zrabowanymi z okolicznych domów.

Pourządzane w ten sposób rosyjskie rowy strzeleckie wraz ze zgliszczami popalonych wsi i miast znaczą obecnie ślady odwrotu rosyjskiego na ziemiach polskich.



Powrót tułaczy krakowskich: Pociąg z uchodźcami, powracającymi z Chocni, na dworcu krakowskim.



Obrazki wojenne: Charakterystyczny typ żołnierza rosyjskiego.



Legiony w polu: Ćwiczenia rekrutów pod Piotrkowem.

Kronika tygodniowa.

Święty Marcin widocznie w samą porę przyjechał do nas na swym siwym koniu. Zima zaczęła całkiem na dobre swe panowanie, od kilku dni mamy mrozy, zwiększające się z dnia na dzień, śniegu przecież jest mało, wobec czego nasi saneczkarze obojga rodzajów mają dość kwaśne miny, nie przymierzając, jak panowie adwokaci, gdy się dowiedzieli, że moratoryum dla Galicyi przedłużone będzie do kwietnia.

Choć właściwie źle powiedziałem, kto bowiem spacerował po plantach krakowskich w okolicy tyłów gmachu sądowego u św. Piotra, musiał bardzo uważać, by zjeżdżający z górki saneczkarz nie wpadł na niego całą siłą pary. Była to jednak, że się tak wyrażę, druga sorta sportsmanów, którzy na przykład przyjemności w ślizganiu się doświadczają na rynsztokach i obchodzą się z zasady bez łyżw.

Sanny także jeszcze niema, jest natomiast gołoledź, gdyż stróże kamieniczni nie spieszą się wcale z uprzątaniem lodu i śniegu z chodników, twierdząc, może i słusznie, że zły przykład daje im zarząd Zakładu czyszczenia miasta. Ten jednak jest o tyle wytłumaczony, iż brak ludzi i zaprzęgów daje mu się we znaki.

Rozmawiałem z jednym z cerberów kamienicznych, bo to już moja pasya urządzać wywiady i dowiedziałem się od niego, że, po pierwsze, nie ma siły do pracy (tak zwanej „pary"), gdyż dostaje zbyt mało chleba, po drugie zaś, poco to zbierać śnieg, skoro nowy jutro spadnie... Jest to tylko niepotrzebna strata czasu i marnowanie własnych sił żywotnych, które mogą przydać się gdzieindziej.

Co jednak najważniejsze, że zimno nam dokucza, a tu brak węgli i porządnego okrycia cielesnej powłoki. Nie każdego stać na to, by jak pierwszy lepszy kamienicznik chadzał po mieście wystrojony w paradne jesiotry i barankową czapę. Ja tam mam tylko palto i to bardzo misternie wiaterkiem podszyte i być może dlatego nie grzejące, iż jeszcze nie zapłacone, na wszelki wypadek przecież noszę ze sobą watowany parasol i otwieram go, ile razy zrobi mi się zimno.

Brak węgli też mnie zbytnio nie przeraża. Radzę sobie, jak mogę i palę w piecu moimi utworami. Przekonałem się przy tej sposobności, iż najwięcej kaloryi wytwarzają poezye (a mam ich spory zapas z młodszych lat, gdym smalił cholewki do Weronisi i w rymach opisywał jej zalety i cnoty), potem wszelakiego rodzaju utwory nastrojowe, z politycznych natomiast artykułów jest sporo dymu, a ciepła mało. Zupełnie, jakbyś palił słomę i chciał się przy tym ogniu zagrzać.

Tyle, zdaje mi się, powinno wystarczyć o przyjemnościach tegorocznej zimy, która ma podobno trwać bardzo długo i być bardzo ostrą, będziemy więc nieraz jeszcze mieli sposobność powrócić do tego tematu, zwłaszcza iż znajomi namawiają mnie, bym spróbował, jak to smakuje jazda na saneczkach.

Jeśli to się stanie rzeczywiście, mam już obiecaną tytułową rycinę w „Nowościach Illustrowanych", przedstawiającą kronikarza, zjeżdżającego na złamanie karku na saneczkach ze Sikornika. Przedtem ubezpieczę się przecież, by Weronisia miała czem otrzeć łzy po mej stracie, bowiem, wedle słów Pisma św. „nikt z nas nie wie ani dnia, ani godziny".

Z ubiegłego tygodnia mam do zanotowania tradycyjne lanie, jakie każdy Krakowianin urządza w przeddzień uroczystości świętego Andrzeja. Jest to, co prawda, babska rzecz, rok rocznie przecież jestem przy tem obecnym i wierzę silnie, że się to, co się ulało, albo spełni, albo nie...

Bo chyba każdy, kto brał w tem udział, wie, ile to w domu frajdy, gdy roztopiony ołów lub wosk wyleje się na miskę z wodą i potem bada pod światło, co też może przedstawiać. Żona twierdzi, że to stanowczo nowy żakiet z baranków krymskich, który jej obiecałeś, córki utrzymują, że to przystojny młody facet, mający zamiary matrymonialne i to poważne, pan domu rozstrzyga w ostatniej instancyi, o ile go baby naturalnie dopuszczą do głosu, że to najzwyczajniejsza figa i nigdy się nie myli.

Po świętym Andrzeju idzie naturalnym porządkiem rzeczy Święty Mikołaj. Czy jednak tego roku nas odwiedzi, nie wiem, ma bowiem, jak mi opowiadano, pewne trudności w otrzymaniu pozwolenia na przyjazd do Krakowa. Nie chcę się przymawiać Szanownym Czytelnikom, a zwłaszcza Czytelniczkom, nie miałbym przecież nic przeciw temu, gdyby tak w dniu tym o mnie nie zapomniały. Ja mam tak miękkie serce, iż przyjmuję wszelakie prezenty. Tylko rózgi proszę mi nie przysyłać. Takową otrzymuję z zasady od mej połowicy, a wiem, że i w tym roku kupiono już na ten cel nową miotłę.

Jeśli więc kto ma ochotę, niech spieszy z podarunkiem na dzień św. Mikołaja. Nie przyjmuję tylko obietnic, bo na tem sparzyłem się już i ja i wielu innych. A jak serce boli, gdy kto obiecał, a potem o obietnicy zapomniał, wie ten tylko, kto tego na sobie doświadczył. A ja mam czułe serce!

Zdarzyło się niedawno, iż pewien pan, rozmawiając z drugim, który dotąd pędził żywot kawalerski, wyrwał się z takiem powiedzeniem:

— Ej... Gdyby tak pan ożenił się kiedy, przysyłam na wesele pięć indyków!

Chłopisko, jako że indyki lubi, łyknął na razie tylko ślinkę, podrapał się w głowę i zaczął kalkulować, opłaci się, czy nie. Bo dziś bez kalkulacyi nic się nie robi!

I przyszedł do przekonania, że jednego indyka zje się w czasie wesela, cztery zaś zostaną na roz początek gospodarstwa, a indyk, to dziś kapitał... Wobec tego, nie namyślając się długo, ugiął kark w jarzmo małżeńskie, czekał przecież na obiecne indyki napróżno. Nie przyleciały.

Nowożeniec spotyka po kilku dniach owego jegomościa i pyta:

— Panie! A gdzie moje indyki?... Bo ja się już ożeniłem...

— Bardzo ładnie! Gratuluję! Indyki jeszcze chude, wstydziłbym się takie posyłać... Ale na srebrne wesele nie zapomnę przysłać... Tymczasem się podpasą!

Cóż było robić?... Trzeba się było zadowolić drugą obietnicą, choć, gdyby to na mnie padło, zaraz na drugi dzień podałbym był o rozwód!

Niechaj więc nikt nigdy nie obiecuje, czego dotrzymać nie myśli, bo to może mieć czasem straszne, wprost nieobliczalne następstwa.

Proszę sobie tylko wyobrazić położenie biednego małżonka, którego żona co najmniej trzy razy dziennie pyta:

— A gdzie indyki?

— Pasą się! — odpowiada stereotypowo, a gdy mu się to już sprzykrzy, jeśli jest do tego wrażliwym, idzie po prostu nad Wisłę i rzuca się w jej srebrne fale.

A kto winę ponosi?... Nikt inny, tylko ów pan, który indyki obiecał, a potem sianem się z obietnicy wykręcił.

Choć ja, gdyby to tak na mnie padło, nie ożeniłbym się, niechby mi kto obiecywał nie pięć, ale tuzin i to nie indyków, ale krokodyli!

Podobno właściciel obietnicy żąda teraz od właściciela indyków notaryalnego zapewnienia, że doczeka srebrnego wesela, a prawnicy łamią sobie głowy, czy i jak się to da ustawowo załatwić.

Z kolei rzeczy żałosne wspomnienie poświęcić muszę ś. p. kanapkom, które, na mocy rozporządzenia magistratu, zniknęły z horyzontu, a raczej bufetu.

Spyta kto może, co to za kanapka? Odpowiem mu na to, że jest to coś, a właściwie nic. Coś, bo dużo kosztuje, a nic, bo niewiele warte. Kawałek chleba, często gęsto nawet masłem nie posmarowanego, na tem okrawek szynki, ogonek ze sardynki i skórka ze sera lub coś podobnego. I za to płacisz od trzydziestu halerzy w górę, nie mówiąc już o tak zwanych kanapkach specyalnych, które od zwykłych różnią się tylko ceną.

Ludziska łykali je z apetytem, kupiec się cieszył, gdyż pozbywał się wszelakich resztek, które musiałyby pójść na marne, aż tu magistrat woła: *„Halt!* Nie wolno! Dawaj kartę chlebową!" Na kromce zaś siedmdziesięciogramowej zrobiona kanapka kosztowałaby z pięć koron.

O ile więc nie robi się ich na chlebie Simona, który wedle ustawy nie jest chlebem, tak, jak baranina mięsem, przejdą kanapki do historyi i pojawią się chyba dopiero po wojnie.

Wróciły natomiast telefony, co jednych uradowało, drugich zaś napełniło smutkiem. Do tych ostatnich należą ci, którzy nie lubią, gdy im się przerywa pracę i odwołuje do telefonu, zwłaszcza, gdy on źle funkcyonuje. A do tych właśnie ja należę.

Cieszą się natomiast wielcy politycy, potrzebujący wiadomości z pierwszej ręki i do tego bardzo prędko.

Spotkałem onegdaj jednego z codziennych redaktorów. Kontent, jakby wygrał na loteryi klasowej. Zaciekawiony, dopytuję się o powód zadowolenia.

— Mamy już telefon! — odpowiada.

— I to pana tak cieszy?

— Naturalnie! Teraz będę się mógł swobodnie porozumiewać z mym korespondentem wojennym.

— To panowie macie połączenie wprost z główną kwaterą prasową?

— Skądże znowu!... On stale urzęduje w Esplanadzie, gdzie czytuje dzienniki berlińskie. Potem przenosi się na inny front, to jest do Bisanza, a kończy w odcinku u Hawełki. A pojmie pan łaskawy, że teraz zależy na pospiechu, z jakim wiadomości przychodzą z pola walki.

— To się samo przez się rozumie! Ale czy szanowny redaktor słyszał o nowem niebezpieczeństwie, które wam grozi?

— Nie! Cóż takiego?... Gadaj pan!

— Podobno mają zarekwirować wszystkie nożyczki na potrzeby armii!

— Boże!... To byłaby klęska!... Musiałbym zawiesić wydawnictwo...

I taka czarna melancholia rozsiadła się na jego obliczu, iż żal mi się go zrobiło, pocieszyłem go też, że to nie jest jeszcze absolutnie pewnem.

Odetchnął z ulgą i z apetytem łyknął „dziecinny" kielich starej starki, bo teraz bardzo ciężkie czasy.

— A jak kochany redaktor — pytam dalej — zapatruje się na poruszoną przez pisma kwestyę wyrobu tłuszczu z pomyj?

Zrobił minę seryo i odparł po chwili:

— To byłoby, proszę pana, podcięciem nóg naszej gospodarki. Bo to jest tak!... Ja to panu zaraz wytłumaczę... Jeśli pomyje będą używane do wyrobu tłuszczów, czyli, że się tak wyrażę, wyjaławiane, to czemże będziemy żywić nierogaciznę?.,. A to przecież, sam pan przyzna, kwestya dla nas pierwszorzędnego znaczenia!... Brak pomyj, to zguba dla świń, jeśli zaś nie będzie świń, to skąd się wezmą pomyje, z których ma się tłuszcz robić?... Z wegetaryańskich pomyj ani gramu tłuszczu nie uzyskasz! Ja się znam na tem, bo tą kwestyą zajmowałem się w swoim czasie i mam nawet gotową rozprawę w tej materyi, nie mogę jednak znaleźć na nią nakładcy... A możeby tak pan kochany?

— O! To się po mnie nie pokaże! Od chwili, w której dowiedziałem się, że tłuszcz ma się robić z pomyj, żadnych tłuszczów nie używam, nie czytuję też odnoszących się do tej kwestyi rozpraw... Kto wie, czy jaki uczony nie wpadnie na pomysł, o czem zresztą czytałem w swoim czasie w „Podróżach Gulliwera", by rozpocząć w Zakładzie Tallarda próby, czy też zawartość owych wonnych beczek nie dałaby się z powrotem zamienić na pokarmy. Byłby to tryumf nowoczesnej chemii, który sprowadziłby ogólny przewrót w całem życiu społecznem!

— Wie pan, że to świetna myśl! I że ja dotąd na nią nie wpadłem! To ciekawe!... Ja się tem jednak zajmę poważnie...

— Materyału nie braknie! Sam mogę służyć...

Chciałbym poruszyć jeszcze jedną kwestyę, to jest poświęcić kilka słów powrotowi naszych uchodźców z Chocenia, zdaje mi się przecież, choć nie jestem prorokiem, że pan metrampaż się sprzeciwi i poradzi, by to zostawić do przyszłego numeru, gdyż miejsca brak.

I ja jestem tego samego zdania, wobec czego odraczam sprawę na cały tydzień. Jeśli nie zapomnę, następną kronikę rozpocznę od opisu, jak czule witali krakowscy kamienicznicy powracających nad Wisłę uchodźców-lokatorów.

Ale „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi", miejsca jest troszkę, zamało jednak, bym mógł sprawę należycie omówić, więc, choć pan metrampaż wyjątkowo jest innego zdania i powiada: „Pisać!", ja przecież postawię na swojem i poproszę Szan. Czytelników o łaskawą cierpliwość do następnego czwartku.

Nikt na tem nic nie straci, a sprawa sama zyska, bo się „odleży".

WARSZAWSKIE KARMELKI
WYKWINTNE w SMAKU
„KRYSZTAŁ"
„SOBOL"
SPÓŁKA Z OGR. ODP.
PODGÓRZE SŁOWACKIEGO 25 TEL 3232.

Krem do zębów
KALODONT
70 halerzy.

Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

O dawaj żaby na łeb krów.

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą imię i nazwisko współczesnego polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Roślina 3. Część ubioru kapłana 4. Przywłaszczyciel 5. Starożytny pieniądz. 6. Dębowy las. 7. Historyk polski. 8 Imię żeńskie. 9. Zjawisko akustyczne. 10. Gatunek psa 11 Wykrzyknik. 12. Spółgłoska.

Szarada.
Ułożył St. Exler, Kraków.

„*Pierwsze-pierwsze!*" woła dziecię,
„Czemu tak drogo na świecie?
Czy to *trzecia-pierwsza* może
Morgana? Ach, daj to Boże!
Trzecie-drugie zapełnione,
Oczy ludu załzawione!
Twarz nam z głodu już przybladła,
Bodaj *całość* szybko spadła!

Zagadki.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

1. Który święty daje, a który obiecuje dać?

2 Który święty jest szczęśliwy, który pobożny, który błogosławiony, a który zwycięzca?

Równanie.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy w pierwszem równaniu nazwisko polskiego powieściopisarza, w drugiem tytuł jego utworu.

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{2}+\frac{c}{2}=x$$

$$\frac{d}{3}+\frac{e}{2}+\frac{f}{3}+\frac{g}{2}=y$$

Znaczenie wyrazów: a) Cienka materya. b) Zjawisko świetlne c) Narząd dotyku u owadów. d) Odmiana topoli e) Przyrząd sportowy. f) Grzyb trujący g) Koń.

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe polskie przysłowie:

1. Nie utyje, kto nadzieją samą żyje
2. Niema gadu bez jadu.
3. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.
4. Nie wychylaj flaszki do dna, bo poruszysz męty.
5. Nie kijem go, ale pałką.
6. Nie znamy, co mamy, aż postradamy.
7. Nie zasłużony, ale szczęśliwy bierze.
8. Nie pomoże umarłemu kadzidło.
9. Nie każdy kąsa, kto wąsami trząsa.
10. Niema ognia bez dymu.
11. Nie kupuj kota w miechu.
12. Nie pchaj rzeki, sama płynie

Logogryf.
Ułożył F. Wiewiórski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy, utworzy pierwszą literę imienia i nazwisko polskiego biskupa-wygnańca.

□ □ □ □ □ □ □
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Pojazd. 2. Przyrząd, wydający donośny głos 3. Uroczysta przemowa 4. Jezioro w Rosyi. 5 Imię męskie, 6. Małe spacerowe statki. 7 Król węgierski (także i herb polski).

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Oto miła antaba z modrzewia.

Bilety wizytowe.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

ALBERT SZMIT.

ALEKSY SATURNIN TONN.

ANTONI KONRAD EM. GUNZ.

EWA RYTA C. N. KROCKA.

BEATA EWA K. R. TARNOCKA.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Andrzeja Gide:* **Ciasna brama.** Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 47.

Zadanie do przestawienia: Kupić nie kupić, potargować można.

Łamigłówka literacka: **K**rólowa Saby.
Onegin Eugeniusz.
Norma.
Rienzi.
Aida.
Don Desiderio.
Walkirye
Andrzej Chenier
Luiza.
Latający Holender.
Ernani.
Niema z Portici
Rigoletto.
Otello.
Demorath.

Zadanie do przestawienia: Kto nie opatrzy, co kupi ten jest do śmierci głupi

Szarada: Galica.

Zadanie do przestawienia: Zła to radość, po której żal chodzi.

Równanie:

Marta + **Ren** + **Neapol** = **Marenne.**

Jazon + minuta + **Apollo** + **merynos** = **January.**

Zadanie do przestawienia: Póki piwo w kadzi, pić go nie zawadzi.

Łamigłówka:

		K	p	y		
		l	o	s		
		a	g	a		
		g	r	a		
p	a	s	z	c	z	a
g	e	n	e	r	a	ł
g	r	o	b	o	w	y
		i	k	s		
		l	a	s		
		o	s	y		
		I	z	a		
		h	u	k		
		o	b	a		
		e	s	y		
		a	k	t		
		l	i	n		
		l	e	n		
		e	g	o		
		k	o	t		

Zadanie do przestawienia: Pamiętaj przychodzie, żyj z rozchodem w zgodzie.

Zadanie do przestawienia: Patyczki stróżą, a ptaszki jeszcze w lesie.

Bilety wizytowe: Właściciel hotelu. Antropolog. Białoskórnik. Miedziorytnik. Okulista.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno. S. Wolańska Przemyśl, J. Wojciechowski Rzeszów, M. Zielińska we Lwowie, S. Milski Tarnów, H. Królicki Nowy Sącz, R. Królicki Krościenko n. D, Z. Szymanek Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **H. Mańkowski, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

„Pozdrowienia żołnierskie". Pod tym tytułem zaczęło wychodzić we Wiedniu pismo, poświęcone żołnierzom naszym i jeńcom polskim Oddawna dawał się odczuwać brak podobnego pisma. „Pozdrowienia żołnierskie" przynoszą w pierwszym numerze wstępny wiersz Henryka Zbierzchowskiego, następnie cudne opowieści Juliusza Kadena. Neumanowej i wielu innych. Pozatem na łamach „Pozdrowień" ogłaszane są nazwiska zaginionych żołnierzy, które redakcya z urzędowego źródła otrzymuje. Pismo redagowane jest wytrawną ręką Romana Hernicza i M. A Sterna. Abonament półroczny kosztuje 3 korony. Adresować należy „Pozdrowienia żołnierskie" Wien, IX., Porzellangasse 18/9.



Wszędzie do nabycia!

Schichta-Pranie — Wojenne-Pranie

najtańszy, najochronniejszy i najskuteczniejszy sposób prania:

Namocz bieliznę z ekstraktem do prania **„Pochwała gospodyń"** przez parę godzin albo przez całą noc. Pierz potem jak zwykle dalej. Tylko trochę mydła — najlepiej mydła Schichta, z marką „Jeleń" — potrzeba, by najśliczniejszą bieliznę otrzymać.

Zaoszczędza pracę, czas, pieniądze i mydło.

Ominol jest najlepszym środkiem dla mycia rąk i szorowania w kuchni i w domu.

NAFTA i OLEJE MINERALNE

do Galicyi i Królestwa Polskiego oraz artykuły techniczne i elektrotechniczne dla wszelkich gałęzi przemysłu poleca

IGNACY FENDLER
Kraków, ul. Straszewskiego 2, parter.

Żądajcie darmo

i opłaconego katalogu głównego z 4000 odbitek wielkiego wyboru użytecznych artykułów na podarki.



C. k. nadworny dostawca
HANNS KONRAD
dom wysyłkowy w Brüx, Nr. 1287. (Czechy).

I a. Solinger brzytwa koron 1·70, 2·20, 3·—. Maszynki do golenia kor. 1·20, 2·—, 2·50. I a. Rączki do brzytew 28 halerzy za sztukę, za tuzin koron 3·—. Maszynka do włosów koron 4·80. Garnitur do golenia z wszystkimi przyborami koron 5·—.

Wysyłka za pobraniem. Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy.



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

— nagniotki —

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·—, 3 słoiki K 2·50, 6 słoików K. 4·50.

Kemeny. Koszyce (Kassa), I. fach pocztowy 12—93, Węgry.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.

Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane.** Wielki wybór **torebek** damskich.

Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Fellera dobroczynnie działający kojący ból fluid z esencyi roślin z marką



„ELSA-FLUID"

dla odflegmiających przepłukiwań gardła.

12 flaszek franko 6 koron, aptekarz E. V. Feller, Stubica, pl. Elsy Nr. 127 (Kroacya). Przeszło 100.000 listów dziękczynnych.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Wielce Interesująca

Skrzynka z widokami



z mechanicznym zmieniaczem obrazów **Tylko dla Panów** Do tego **50** bardzo pikantnych zdjęć fotograficznych. Obrazy przedstawiają się **nadzwyczaj pięknie i bardzo plastycznie,** a także przez mechaniczne przesuwanie się obrazów jako pikanterya, panorama ta kupowaną jest bardzo chętnie przez Panów **kompletna panorama wraz z 50 fotografiami** tylko **K 3·50. — Dyskretne wysyłki** tylko wprost za zaliczką przez **M. Swoboda, Wiedeń, III 2, Hiessg. 13-31**

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 331.

Wojenna branzoletka z zegarkiem

Z szkłem ochronnym — Nie do rozbicia



Wielkość według rysunku — Z szkłem lub bez szkła

Nikiel lub stal, wielkość według załącz. wzoru 10 Kor.
Z radium świecącą tarczą, wielkość według wzoru 15 „
Marki „Cyma" z precyzyjnym werkiem Anker 30 „
Oryginalny „Omega" „ „ „ 50 „
Z prawdziwą radiową tarczą świetlną 10 koron i wyżej
Z szkłem ochron. według załącz. wzoru 1·50 „ i wyżej
Srebrna branzoletka z zegarkiem 14 Kor.
Złota „ „ 14 karat. 28 „
Powyższa branzoletka z zegarkiem większy format 6 „
Tasama, elegancka, płaska, duży format 8 „
Z radium tarczą świecącą I-szej jakości 10 „
Budzik kieszonkowy z rzemyczkami lub bez 18 „
Tensam z radium tarczą świecącą I-szej jakości 26 „
Wojenny zegarek z 2 lub 3 portretami cesarzy 5 „
Wojenny budzik armata 6 kor., z bębenkiem 7 „
Tani zegarek niklowy 4 kor., Tanie budziki 4 „

3-letnia gwarancya. Wysyłka za poprzedniem nadesłaniem należytości razem z portem 50 hal. także w pole przez

Dom eksportowy wojennych i zegarków
Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstr. 27/62.
Oryginalny fabryczny cennik darmo.

Drukarnia D. E. Friedleina

w Krakowie, ul. Kazimierza W. 95. Tel. 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele i t. p. szybko i starannie, po cenach umiarkowanych.

Najnowsze pisma z modami:

Favorit 90 hal.
Elite 2 K 40 hal.
Mode für Alle 1 K 30 hal.

wysyła za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości **Księgarnia D. E. Friedleina, Kraków-Now. Rynek 17.**

Przyjmuje się również prenumeratę na wszystkie pisma z modami.

Znane

Ziółka z Gór Harcu

Cena K 1·— i K 2·— poleca

Czternasta apteka

Mra W. Radwańskiego w Krakowie, ul. Lubicz (obok dworca kolei). Wysyłka pocztą odwrotnie.

Wojenna, skorzana branzoletka z zegarkiem K 6·50



w niklowej sch wce z dobrym werkiem Nr 4297 1/2. W stalowej schowce K 8·—, Nr 4301 1/2 w niklowej lub stalowej schowce z kółeczkami po bokach i rzemykiem K 7·50. Nr 4302 1/2 z radium świecącą tarczą i wskazówkami według załączonego wzoru K 9·50, na każdy zegarek 3-letnia piemna gwarancya! Bez ryzyka! Zamiana dozwol. lub zwrot pieniędzy.

I-sza fabryka zegarków
Hanns Konrad
c. i k. adw. dost w Brüx Nr 1290 (Czechy)
Główny katalog darmo i opłatnie

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych.

Rok założenia **1900**

Po drodze do Zakopanego

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** doborowej jakości, **gotowe lub na miarę**

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.